Związkowy
BIBLIOTEKA
LUBLIN

● LISTY - POLEMIKI - REFLEKSJE ● PROF. KŁOCZOWSKI DLA „RELACJI" ● WSPOMNIENIE O PANI MARII ● SPÓR O PATRIOTYZM ● ZDARZYŁO SIĘ POD KRASNYMSTAWEM ● NAD BUGIEM ● HAK NA MASARZA

TYGODNIK WSCHODNI

PL ISSN 0860-6650

relacje

LUBLIN, 27 VII - 2 VIII 1988 R. NR 28 CENA 70 ZŁ

NIE WOLNO STRACIĆ TEJ SZANSY

Rozmowa z prof. Jerzym Kłoczowskim przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego w Lublinie

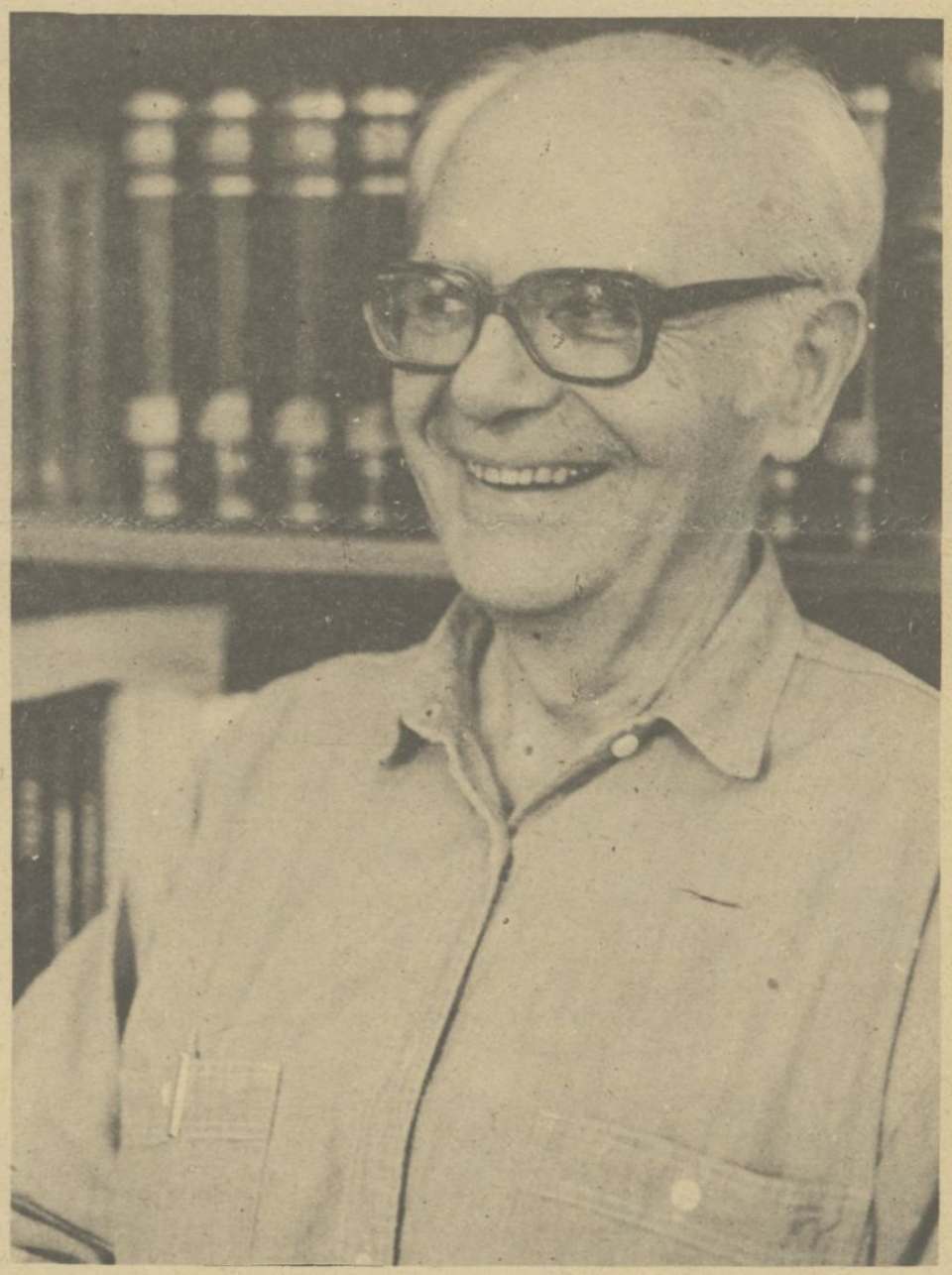

Fot. Waldemar Stępień

JERZY KŁOCZOWSKI, profesor doktor habilitowany, historyk, ur. w 1924 r., żonaty, ma pięcioro dzieci. W latach 1941—44 żołnierz Armii Krajowej, w Powstaniu Warszawskim dowódca plutonu, ranny, traci prawe ramię. Podczas pobytu w obozie jenieckim w Skierniewicach w 1944—45 zakłada (wespół z Adamem Stanowskim i późniejszym księdzem Krzysztofem Kasznicą) tajny uniwersytet, przede wszystkim z myślą o wziętych do niewoli żołnierzach armii Berlinga. W roku 1945 rozpoczyna studia na Uniwersytecie Poznańskim, a w roku 1950 uzyskuje stopień doktora. Habilituje się w sześć lat później, profesorem nadzwyczajnym jest od 1967 r., a zwyczajnym — od roku 1974.

Wykładowca KUL, kierownik Katedry Historii Kultury Polskiej od r. 1962. Wykładowca College de France w 1977 oraz wielu uniwersytetów europejskich i amerykańskich (Francja, Belgia, RFN, Hiszpania, Wielka Brytania, USA, Kanada). W latach 1985—87 visiting professor na Sorbonie.

Członek Komitetu Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk oraz krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych, m. in. Polskiego Towarzystwa Historycznego i Commission Internationale d'Histoire Ecclesiastique Comparee (od r. 1980 wiceprzewodniczący). Odznaczony 2 października 1944 r. przez gen. Bora-Komorowskiego Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Walecznych.

Profesor Jerzy Kłoczowski napisał przeszło czterysta rozpraw naukowych, w tym wiele książek, m. in.: „Dominikanie polscy na Śląsku w XIII—XIV wieku" (1956), „Wspólnoty chrześcijańskie" (1964), „Kościół w Polsce" (2 tomy, 1968—70, redaktor i współautor), „Chrześcijaństwo w Polsce" (1980, redaktor i współautor), „Europa słowiańska w XIV—XV wieku" (1983). „Dzieje polskiego chrześcijaństwa" (t. 1 wydało dwa lata temu paryskie wydawnictwo Editions du Dialogue), „Od pustelni do wspólnoty. Grupy zakonne w wielkich religiach świata" (1987), „Histoire religieuse de la Pologne" (redaktor i współautor, Paryż 1987).

„Relacje": — Panie profesorze, zacznę od podziękowania, że mimo tak wielu zajęć znalazł pan czas, aby udzielić wywiadu naszemu tygodnikowi. I moje pierwsze pytanie związane jest z pańską aktywnością polityczną. Jest pan mianowicie bardzo silnie zaangażowany w dzieło przemian naszego kraju, któremu to dziełu przewodzi Solidarność. Historia wydawała mi się zawsze tą nauką, która uczy dużego dystansu do teraźniejszości. Z tysiącletniej perspektywy nasza współczesność jest zaledwie ułamkiem, a nasze dzisiejsze spory muszą się chyba wydać mało znaczącym epizodem. Czy więc ta pokora wobec dziejów ludzkich, której nabiera się obcując na co dzień z historią, nie zniechęca do działania na rzecz chwilowej teraźniejszości?

Prof. dr hab. Jerzy Kłoczowski: — Jest akurat przeciwnie niż pan sądzi. Historia, oczywiście pośrednio, uczy, że postawy, ambicje i działania ludzi mają istotne znaczenie, one przecież zawsze decydują o tym, jaki jest nasz świat. Moja wiedza historyczna oraz doświadczenie życiowe także mnie przekonują, że nie należy lekceważyć ludzkich postaw, aspiracji i czynów. Można podać wiele przykładów, z przeszłości dalszej i bliższej, że społeczeństwa bierne, pasywne, które straciły wiarę w sens działania, same odsuwają się na bok, schodzą z głównego traktu historii i tracą tym samym szansę na zmianę swojego losu. Naturalnie, trzeba dłuższej perspektywy, aby ocenić znaczenie ludzkich działań, w żadnym jednak momencie historii (a teraźniejszość też jest na swój sposób historią) nie ulega wątpliwości, że to my, swoimi czynami decydujemy o sobie.

Niekiedy czas płynie leniwie, ale w życiu każdego pokolenia pojawia się sytuacja, która stwarza wyzwanie i ta sytuacja wymaga, abyśmy na to wyzwanie odpowiedzieli. Najgorsza dla narodu rzecz dzieje się wtedy, kiedy pozostaje on wobec takiego wyzwania bierny, kiedy nie umie lub nie chce działać, bądź nie potrafi we właściwym momencie i we właściwy sposób takich wyzwań odczytać.

— Można zatem powiedzieć, że historia uczy aktywności i pomaga dokonywać rozumnych wyborów?

— Tak, historia uczy, że należy zawsze odpowiadać na wyzwanie współczesności, starając się za każdym razem należycie je odczytać. Także w tej chwili w Polsce stoimy przed pewnymi wyzwaniami historycznymi, powiązanymi z konkretną sytuacją międzynarodową. Jest dla nas rzeczą podstawową, aby to odpowiednio zrozumieć i właściwie działać.

— Odwołał się pan, panie profesorze, do swojego doświadczenia. Ale przecież doświadczenie z lat 1944—45, kiedy naród usiłował suwerennie zadecydować o sobie, było dla pana osobiście i dla wszystkich Polaków bardzo tragiczne. To chyba zostawia w człowieku jakiś ślad. Zniechęcenie? Załamanie?

Dokończenie na str. 8

relacje ZE ŚWIATA

● Trwają strajki w radzieckich zagłębiach węglowych na Syberii i Ukrainie. Liczba strajkujących górników sięgnęła 200 tysięcy. Obok żądań płacowych i socjalnych, strajkujący domagają się sprzedaży węgla po cenach światowych.

● Do krwawych starć na tle narodowościowym doszło w Abchazji. Są zabici i ranni. Obowiązuje godzina milicyjna. Napięta sytuacja utrzymuje się na pograniczu Tadżykistanu i Kirgizji, a także w radzieckiej Mołdawii.

● Dwadzieścia tysięcy żołnierzy radzieckich z jednostek specjalnych stale patroluje tereny, na których trwały lub trwają konflikty na tle etnicznym.

● Kongres USA przyjął ustawę o udzieleniu Polsce pomocy żywnościowej. Do 1992 roku Polska będzie otrzymywać po 8 tys. ton produktów rolnych i spożywczych rocznie.

● Europejska Wspólnota Gospodarcza zadeklarowała dostawy mięsa dla Polski w oparciu o zapasy Wspólnoty.

● 35 procent zamachów terrorystycznych dokonanych w latach 1975—86, w których zginęło 2500 dyplomatów, skierowanych było przeciwko Stanom Zjednoczonym.

● Prezydent Indii Rajiv Gandhi spotkał się w stolicy Pakistanu z premierem Benazir Bhutto. Omawiano m.in. sytuację w Afganistanie. Wizyta prezydenta Indii wywołała protesty Pakistańczyków.

● Stany Zjednoczone wstrzymały decyzję o sprzedaży systemu testowania rakiet dla Indii w obawie przed wykorzystaniem tych urządzeń do sprawdzania rakiet jądrowych.

● Sekretarz generalny KC KPCh Jiang Zemin wezwał wykładowców i profesorów chińskich wyższych uczelni do podjęcia walki z „przejawami burżuazyjnego liberalizmu" oraz do nasilania politycznej i ideologicznej edukacji studentów.

● Przebywający na emigracji chińscy intelektualiści i studenci utworzyli w Paryżu Opozycyjny Front Demokratyczny, którego celem jest obalenie, bez użycia siły, rządu komunistycznego w Chinach.

● Prokuratura praska wniosła do sądu akt oskarżenia przeciwko członkowi Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, Peterowi Pospichalowi, za współdziałanie z posłami na Sejm PRL, J. Onyszkiewiczem i Z. Janasem, których określono jako „zagranicznych działaczy antysocjalistycznych". Pospichalowi grozi kara do 10 lat więzienia.

● W Czechosłowacji nastąpiła daleko idąca liberalizacja przepisów paszportowych.

● Żona znanego pisarza czechosłowackiego, Vaclava Havela, Olga nie otrzymała pozwolenia na wyjazd do Wiednia.

● Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej oświadczyło, że nie ma wystarczających podstaw, aby stwierdzić, czy Stalin był agentem carskiej policji.

● Rząd amerykański wypłaci odszkodowania od 100 do 250 tysięcy dolarów rodzinom pasażerów irańskiego samolotu zestrzelonego w ub. roku nad Zatoką Perską przez lotniskowiec „Vinncennes".

● Król Arabii Saudyjskiej Fahd nieoczekiwanie odwołał wizytę w USA zaplanowaną na koniec miesiąca.

● Komitet Centralny Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej zawiesił w czynnościach z-cę kierownika Wydziału Zagranicznego KC WSPR, Csabę Tabajdiego. Powodem tej decyzji były wypowiedzi dla prasy włoskiej, w których Tabajdi mówił o konieczności rewizji polityki obronnej Węgier, gdyż, jego zdaniem, rzeczywiste niebezpieczeństwo zagraża krajowi z południowego wschodu. Tabajdi twierdził także, iż sekretarz generalny WSPR, Karoly Grosz nie cieszy się społecznym zaufaniem i należy go wymienić na polityka-reformatora.

● W wywiadzie dla węgierskiej telewizji Borys Jelcyn stwierdził: „Jeżeli na nastąpi szybka, odczuwalna poprawa sytuacji materialnej obywateli radzieckich, to ludziom starczy cierpliwości nie na dłużej, niż rok lub dwa lata, [...]".

● W Londynie odbyło się posiedzenie emigracyjnej PPS. Po raz pierwszy uczestniczył w nim delegat z Polski, Jan Józef Lipski.

● Zmarł prezydent emigracyjnego rządu RP w Londynie, Kazimierz Sabat.

relacje Z KRAJU

● Wojciech Jaruzelski został wybrany przez Zgromadzenie Narodowe prezydentem Polski. Był jedynym kandydatem do tego urzędu. Oddano 544 głosy, w tym 537 ważnych. Za kandydaturą W. Jaruzelskiego głosowało 270 deputowanych, przeciw — 233, 34 wstrzymało się od głosu. Bezwzględna większość wynosiła 270 głosów. Po wyborze prezydent, zapytany przez dziennikarzy, czy nowy rząd będzie rządem koalicyjnym, poradził zwrócić się z tym problemem do futurologów.

● Przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, Bronisław Geremek, w wywiadzie dla telewizji francuskiej stwierdził, że opozycja nie wejdzie w skład koalicyjnego gabinetu, jednakże może sformować własny, jeżeli prezydent powierzy klubowi taką misję.

● Lech Wałęsa przesłał nowo wybranemu prezydentowi list gratulacyjny. „Życzę też Panu — czytamy m.in. w liście — i Polsce, by prezydent Rzeczypospolitej wybrany w następnej kadencji objął swój urząd głosami wszystkich Polaków na miarę przysługujących nam praw obywatelskich [...]".

● Pierwszymi telegramami gratulacyjnymi dla W. Jaruzelskiego były depesze od rządów Stanów Zjednoczonych i Republiki Federalnej Niemiec.

● Przewodniczący OPZZ, Alfred Miodowicz, odwiedził stolice bratnich krajów, Berlin i Pragę. W czasie wizyt mówił m.in. o potrzebie wspierania związków zawodowych przez bliskie im ideowo ugrupowania polityczne.

● Polska Rzeczpospolita Ludowa i Watykan nawiązały stosunki dyplomatyczne.

● Nadal trwają strajki pracowników służby zdrowia. Strajkowali też katowiccy tramwajarze i kierowcy autobusów. Na krótko przerwali pracę stoczniowcy gdyńscy.

● W roku 1988 doszło w Polsce do 202 strajków z udziałem 55 tysięcy osób. W pierwszym kwartale br. miały miejsce 254 strajki. Wzięło w nich udział ponad 100 tys. osób.

● Dokonane uzgodnienia w sprawie indeksacji spowodowały panikę na rynku. Masowo wykupywane są podstawowe artykuły spożywcze. Rząd zapowiedział likwidację kartek z dniem 1 sierpnia.

● 54 rady narodowe odmówiły w tym roku udzielenia absolutorium naczelnikom i prezydentom.

● „Jesteśmy samodzielną polityczna organizacją, kontynuującą najlepsze tradycje polskiej lewicy" — stwierdził Mirosław Janas, uczestnik V Zjazdu ZSMP, w wywiadzie dla „Tygodnika Nadwiślańskiego".

● W Warszawie zarejestrowano Stowarzyszenie Obrony Praw Ojca.

● Dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie, Kazimierz Dejmek, zwolnił z pracy Gustawa Holoubka. Aktor Gustaw Holoubek jest aktualnie senatorem ziemi krośnieńskiej.

● Plenum NK ZSL udzieliło votum zaufania — na wniosek zainteresowanych — prezesowi Romanowi Malinowskiemu i członkom Prezydium NK ZSL.

● Ustawa z dnia 17 lutego 1960 roku stanowi, że Order Budowniczych Polski Ludowej „może być nadany osobom, które położyły szczególne zasługi w dziele budowy Polski Ludowej, zwłaszcza w dziedzinie działalności państwowej lub społecznej, gospodarki narodowej, oświaty, nauki, kultury i sztuki, ochrony zdrowia, umacniania obronności państwa". Order ten otrzymali m.in. Bolesław Bierut, Hilary Minc, Konstanty Rokossowski, Franciszek Jóźwiak, Józef Cyrankiewicz.

● W Warszawie i Krakowie obradowali uczeni polskiego pochodzenia.

● Przebywający w Moskwie Adam Michnik na pytanie dziennikarzy, dlaczego nie mógł przyjechać do ZSRR jesienią ub. roku: „Po prostu przed pół rokiem byłem jeszcze »zwyczajnym kryminalistą«, a dziś — posłem i redaktorem naczelnym [...]".

● Tadeusz Fiszbach, poseł PZPR, w wywiadzie dla „Reportera": „Szczycę się tym, że niezależnie od tego, czy i jakie stanowisko zajmowałem, zawsze po Gdańsku chodziłem z podniesionym czołem. Skończyłbym się jako człowiek, jako polityk, gdybym został zakwalifikowany do »onych«!"

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Hitem ubiegłego tygodnia — i to zarówno czysto politycznym, jak i telewizyjnym — był bez wątpienia wybór przez Zgromadzenie Narodowe prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Oto kilka opinii naszych czytelników:

Marian Wojtaszek, robotnik z Kraśnika: — Te osiem godzin przesiedziałem w napięciu jak przy najlepszym kryminale. Ale to dobrze, że tak długo trwało. Widzieliśmy wszyscy, że wybór dokonał się do końca demokratycznie. Na miejscu Wojciecha Jaruzelskiego nie martwiłbym się nikłym, punktowym zwycięstwem. Jest ono obrazem aktualnej sytuacji i nastrojów w kraju, a wybór jest wyborem. Od początku mówiłem, że marszałek Sejmu nie ma potrzebnej do takich prac energii.

Alfred Chmielewski, emeryt z Lublina: — Moim faworytem był generał Czesław Kiszczak. Ale cóż, stało się. Skoro jednak pan Jaruzelski już został wybrany, uważam, że wszyscy powinni podjąć z nim współpracę. Urząd prezydenta musi być spoiwem narodowym. Należy opatrzyć ten urząd najwyższym możliwie autorytetem. Jestem nawet za utrzymaniem werbalnych zwyczajów sprzed wojny; zawsze i wszędzie należałoby mówić: pan prezydent Rzeczypospolitej.

Ewa Kręglicka, studentka psychologii: — Nie interesuję się polityką, ale te wybory oglądaliśmy całą rodziną. Byłam pewna, że wszystko dawno już zostało ukartowane, a tu taka niespodzianka.

Anna Siennicka, pracownica ZOZ w Zamościu: — Jeśli fakt, że mamy prezydenta, coś naprawdę zmieni, to dobrze. Trudno jednak mieć nadzieję. Sytuacja na rynku jest coraz gorsza, rząd niby jest, a tak jakby go nie było, pan generał też przymierzał się do tej funkcji z kokietenią. Innego jednak kandydata nie było. Argumenty, że jest on znany za granicą, do mnie nie przemawiają. Czy Narutowicz, Wojciechowski i Mościcki byli przedtem znani? A wszyscy wypełnili godnie swój obowiązek.

(Nazwisko znane redakcji): — Był to taki wybór, jaki mógł być w aktualnej sytuacji. Nie jestem zadowolony, że objął to stanowisko pan Jaruzelski. Od 1968 roku jest on w najwyższych władzach państwa i jaki jest tego efekt? Mówi się, że bardzo się zmienił, ale według mnie, politycy zmieniają się tylko koniunkturalnie. Pod koniec kadencji będzie miał 72 lata. Polsce potrzebny jest nowy, młody, energiczny człowiek. Po co przenosić w przyszłość niewiarę, błędy i potknięcia przeszłości? Jestem jednak za szacunkiem dla samego urzędu.

Czesław Baran, prawnik: — Wybór generała Jaruzelskiego przyniósł mi satysfakcję. To człowiek wrażliwy na polskie sprawy i doświadczony polityk. Z niepokojem obserwowałem sytuację w kraju ukształtowaną po wyborach, a teraz coraz radośniej patrzę na fakt, iż tak głębokie przemiany dokonują się, jak dotąd, pokojowo. To napawa nadzieją, a osoba prezydenta Jaruzelskiego jest dla mnie gwarancją dalszego postępu na tej drodze.

ŻEGNAMY MARIĘ KUNCEWICZOWĄ

Odeszła wybitna pisarka, kobieta niezwykłego charakteru, wielkiego serca i dobroci. To bolesna strata dla wszystkich, którzyśmy znali Ją i Jej książki.

Jej pracowite życie wypełniała bez reszty literatura. A literatura to jedyna w swoim rodzaju, zapewniająca Pisarce trwałe miejsce w polskiej kulturze. Różnorodność Jej warsztatu pisarskiego oraz głębokie zainteresowanie ludzką duszą sprawiały, że powieści Marii Kuncewiczowej, przecież niełatwe i o dużym kunszcie artystycznym, wydawano w wysokich nakładach, wznawiano, tłumaczono na wiele języków (m.in. angielski, francuski, niemiecki i włoski), a także przenoszono na scenę.

Jej pozycję ugruntowała przed wojną „Cudzoziemka". Jest to powieść o nieprzemijających wartościach poznawczych i walorach artystycznych, czytana z niesłabnącym zainteresowaniem dzięki mistrzostwu, z jakim przedstawiono psychologiczny wizerunek tytułowej bohaterki. Róża, córka polskiego emigranta, wychowana w Rosji, dokonuje pod koniec swoich dni rozrachunku z całym życiem, które ocenia jako zmarnowane. Czuła się obca w Polsce i wśród Polaków, stąd — „cudzoziemka", która nie może znaleźć sobie miejsca i zadręcza swoimi sprawami otoczenie. Powieść ta, zaliczona przez krytyków do najwybitniejszych osiągnięć polskiej prozy psychologicznej, była czternaście razy wznawiana, a przetłumaczono ją na kilkanaście języków.

Wielu znawców zwracało uwagę na autobiograficzny charakter twórczości Pani Marii Kuncewiczowej. Na przykład w „Cudzoziemce" miało to dotyczyć wątku związanego ze stosunkiem matki do córki. Inni podkreślali, że tak wybitna znajomość stanów uczuciowych, fobii i kompleksów opiera się na szczerej analizie własnych doświadczeń i problemów adaptacyjnych. A zatem literatura była dla Pisarki jakby dalszym ciągiem życia. Nie konwencją artystyczną, ale żywym organizmem, który uzupełnia ludzką obecność pośród rzeczy.

Czesław Miłosz, który w napisanej po angielsku „Historii literatury polskiej" (University of California Press, Berkeley, 1983) poświęca Marii Kuncewiczowej osobne hasło, pisze, iż jej powieści charakteryzuje „elegancja stylu i konstrukcji". Na tle współczesnych sobie pisarzy polskich nazywa ją autorką „najbardziej zachodnią", ponieważ jej uwaga zwrócona jest przede wszystkim ku sprawom indywidualnego człowieka.

To było też najpierwszą zaletą pisarstwa Marii Kuncewiczowej, a wydane po wojnie „Gaj oliwny" (1961) oraz „Tristan 1946" (1967) rozszerzyły Jej pole widzenia na psychikę dziecka i dorastającej młodzieży. Była mistrzynią zwłaszcza w subtelnym (ale wiarygodnym i kompetentnym) przedstawianiu zakamarków duszy kobiecej, uwikłanej w różne perypetie historyczne. Bo bohater tej literatury to także homo historicus, w tym bardzo specyficznym wydaniu, jakim można być tylko w Polsce (np. „Leśnik", powieść osnuta na tle Powstania Styczniowego), gdzie uwikłanie w przeszłą i bieżącą politykę tworzy niespotykany gdzie indziej genre życia zbiorowego i osobistego.

Tak, były to książki, które zostawiały w naszej duszy ślad, zmuszały do rozmyślań nad własną aktywnością i nad naszym bytowaniem narodowym. Była Pani bowiem pisarką bardzo polską, w tym wielkim znaczeniu „polskości" literatury, jakie ukształtowali nasi wybitni romantycy.

Dlatego żegnamy Panią z prawdziwym żalem.

(AP)

Świat wokół nas

MUR BERLIŃSKI

Wiesław Horabik

NIGDZIE chyba na świecie nie ma skrawka muru tak pokrytego graffiti, jak mur berliński po zachodniej stronie. Wśród napisów i rysunków nie przeważają jednak zwyczajowe wyznania typu „byłem tu"; dominują hasła polityczne oraz wizerunki kwiatów. Swoje pokojowe przesłania zostawiali tu hippiesi, gwiazdy rocka, politycy od „zielonych", przedstawiciele nieformalnej alternatywy.

„Szrama na żywym ciele Europy" podlega coraz większej presji politycznej.

W małej kawiarence w zachodnioberlińskiej dzielnicy Kreuzberg można obejrzeć podstarzałe już fotografie. Przedstawiają one ludzi częstujących się piwem ponad niewysokim płotkiem. (Mur w obiegowym pojęciu do dziś funkcjonuje zresztą jako „płot"). Zdjęcia pochodzą z końca lat pięćdziesiątych.

Mur berliński, tęga, betonowa konstrukcja niemal półmetrowej grubości i długości 42 kilometrów, wyrósł jednej nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 roku. Był on nie tyle wydumaną inicjatywą, co efektem czasu: pełni „zimnej wojny" i tężejącego napięcia między Wschodem i Zachodem (Zatoka Świń). W 1963 roku John Kennedy wygłosił z drewnianej platformy vis a vis Bramy Brandenburskiej swoje głośne przemówienie, kończąc je deklaracją, iż sam jest berlińczykiem („I am a Berliner"). W 1988 roku podobny gest wykonał Ronald Reagan. Pamiętam, jak we wczesnych latach siedemdziesiątych mieszkańcy stolicy NRD z wysokości słynnej telewizyjnej wieży przy Alexanderplatz popatrywali na biurowiec koncernu Springera, kiwając smutnie głowami, z niemałą dozą melancholii. Z drugiej znowu strony w 1981 roku obserwowałem w pobliżu stacji Tiergarten burzliwą demonstrację młodzieży żądającej natychmiastowego zniesienia tragicznego podziału miasta. Dzisiaj te nastroje utrzymują się nadal, choć uległy bez wątpienia znacznemu przemodelowaniu.

Pod koniec niedawnej wizyty Michaiła Gorbaczowa w RFN jeden z dziennikarzy na pytanie o przyszłość berlińskiego muru usłyszał odpowiedź, że decyzje polityczne nie rodzą się nagle i że Michaił Gorbaczow nie zna w polityce układów wiecznych. Problem podziału miasta ma bowiem nie tylko strategiczny, ale również moralny charakter. Pojawia się on przy każdej dyskusji o respektowaniu harmonijnego ładu w pohelsińskiej Europie. A jednak z całą pewnością nie znajdzie on rozwiązania „z automatu", przy okazji jakichkolwiek ustaleń szczegółowych, stanowi bowiem część globalnych przewartościowań politycznych. Jak zmienił się zatem świat w odniesieniu do Berlina?

„Układ Republiki Federalnej Niemiec z USA przekształca się z relacji: ojciec — dziecko w relację co najmniej: ojciec — nastolatek" — stwierdził ostatnio jeden z amerykańskich dyplomatów. Opinia ta oddaje najpełniej istotę rzeczy. Mieszkańcy RFN od czasu, gdy pozbyli się obaw o zagrożeniu ze Wschodu (zjawisko „Gorbaczomanii" — ok. 78 proc. ludności RFN nie wierzy już w konflikt z ZSRR), coraz wyraźniej podnoszą zawołanie: „Americans go home" (Amerykanie do domu). Rodzi się koncepcja jakiejś bliżej nie sprecyzowanej „neutralności" Niemiec. Z drugiej zaś strony, przyjmowane jak dotąd z lekceważeniem, zaczynają znajdować pokrycie w faktach socjologicznych sugestie o utrwalaniu się dwóch narodów niemieckich. Mieszkańcy Republiki Federalnej Niemiec coraz częściej doceniają zalety istniejącego status quo (nauka płynąca m. in. z imigracji tysięcy „etnicznych" Niemców z NRD, Polski a nawet ZSRR). „To, że mówimy o połączeniu Niemiec, wcale nie znaczy, że tego pragniemy" — stwierdził jeden z zachodnioberlińskich polityków. „Nie jesteśmy, u diabła, państwem charytatywnym" — słyszy się stale od Hamburga do Monachium. Mieszkańcy stolicy NRD z kolei poirytowani są traktowaniem przez władze w Bonn zachodniej części miasta jako integralnego obszaru Republiki Federalnej.

Za status quo przemawia także charakter stosunków handlowych łączących oba państwa niemieckie. Tutaj mur nie stanowi żadnej bariery: rząd federalny utrzymuje linię kredytową dla NRD w wysokości 475 milionów dolarów; około 150 zachodnioniemieckich firm weszło w układ join-ventures ze wschodnimi partnerami; Berlin wschodni podłączony jest do zachodnioberlińskiej sieci energetycznej; RFN pokrywa połowę deficytu wschodnioniemieckich kolei państwowych (10 milionów dolarów rocznie); liczba emerytów ze Wschodu przenoszących się do RFN wzrosła w ubiegłym roku do 1,2 miliona osób. Zakres tych formalnych i quasi-formalnych układów jest bardzo szeroki. Tak więc, podobnie jak i inne zjawiska rodzącej się międzyepoki, problem berliński jest o wiele bardziej skomplikowany i niejednoznaczny niż się na ogół sądzi.

Wschodni i zachodni Berlin to jednak przede wszystkim dwa różne światy. Brak tu elementów pogranicza, przenikania, wielowątkowości. Długie zasieki z drutu kolczastego wyznaczają karnie przejścia, gdzie można bezpiecznie spacerować. Powolny, jakby nieco senny ruch na przepastnych arteriach stolicy NRD w niczym nie koliduje z nerwowym, ruchliwym, business-like tempem życia Berlina Zachodniego. Jakby istotnie zakrzepł tu jakiś stan, stan trwałości i nieodwracalności; jakby ukształtowały się w sposób naturalny dwa odrębne, samowystarczalne organizmy. Aktywiści radykalnej lewicy, którzy mają szanse wejść do koalicji rządzącej Berlinem Zachodnim, marzą o zjednoczeniu miasta, ale niewielu berlińczyków, zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie, naprawdę w to wierzy. „Jesteśmy Niemcami — powiedział niedawno »Newsweekowi« młody wschodnioberliński muzyk — ale nie hołubimy uczuć nacjonalistycznych. Dlaczego nie utrzymać podziału na dwa narody? Taki podział funkcjonuje przecież, jak dotąd, dobrze".

Najpełniejszą ilustrację abstrakcyjności tematu przyszłego zjednoczonego Berlina stanowią zbiegające się niemal w czasie wypowiedzi Ericha Honeckera i Hansa-Dietricha Genschera.

Genscher, odpowiadając ostatnio dziennikarzom, tak scharakteryzował dramat muru berlińskiego i w ogóle podziału Niemiec: „Kiedy mówię o barierach, które nam się nie podobają, mam na myśli straszny mur przecinający Berlin i Niemcy; mur, który nie daje się z niczym innym porównać. Nikt nie powinien obawiać się obecnie nowego wybuchu nacjonalizmu w Niemczech. Jesteśmy dobrymi Europejczykami. Nigdy przedtem nie związaliśmy swego losu tak blisko z losem Europy. Z naszej historii wyciągnęliśmy wnioski. Stopień, do jakiego nasze przeznaczenie związane jest z Europą, wyznacza fakt, iż granica dzieląca kontynent oddziela także Niemców od Niemców. Ale nawet dziesięciolecia separacji nie stworzyły dwóch kontynentów z jednej Europy, tak jak nie uformowały dwóch narodów z jednego niemieckiego narodu. Wszystko, co przybliża do siebie Europejczyków, przybliża także do siebie Niemców".

Całkiem odmienną opcję przedstawił natomiast Erich Honecker. W wywiadzie dla „Washington Post" powiedział on: „Jesteśmy przypisani lekcji historii: nigdy więcej wojna nie może wyjść z niemieckiej ziemi. Poszukujemy dobrosąsiedzkich stosunków między obu państwami niemieckimi, ale dążenie do innych celów byłoby hołdowaniem zapalnym marzeniom. Istnienie dwóch niezależnych, różnych państw niemieckich jest faktem; państw o odmiennych systemach społecznych, należących do odmiennych sojuszy. Wielkie Niemcy istniały tylko przez krótki okres w historii. Nikt nie mógłby być znowu zainteresowany w utworzeniu w sercu Europy państwa, które trudno byłoby kontrolować. Mówi się, że to, co zdarzyło się w przeszłości, nigdy się nie powtarza. Ale neonaziści już zostali wybrani do parlamentu Berlina Zachodniego i Republiki Federalnej. Potwierdza to mój pogląd, iż instalacje graniczne muszą być za wszelką cenę utrzymane na koniecznym poziomie. Nic nie słyszałem o usunięciu instalacji granicznych między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem".

Przed rokiem NRD rozluźniła nieco blokadę, demontując z pasa granicznego miny i usuwając sterowane fotokomórką karabiny maszynowe. Jak podają jednak źródła zachodnie nadal około 600 tysięcy mieszkańców NRD wyraziło pragnienie emigracji do RFN i czeka na paszporty. „Pieriestrojka" przebija się we wschodnim Berlinie opornie, a przecież trudno odmówić wypowiedzi Ericha Honeckera pryncypialnego charakteru.

Na razie wygląda na to, że mur berliński długo jeszcze będzie dzielił dwa światy. Jak długo? Trudno przewidzieć. Być może do czasu, gdy — jak to ujął żartobliwie angielski turysta — NRD stanie się bogatszym państwem niż RFN, a być może i dłużej. A dla nas, Polaków? Dobrze to czy źle?

JEST PREZYDENT I CO DALEJ?

Andrzej Z. Kowalczyk

TEMPO życia politycznego w Polsce jest tak wielkie, iż właściwie nie sposób uprawiać aktualnej publicystyki. Zwłaszcza w piśmie mającym taki cykl produkcyjny jak „Relacje". Oto bowiem dziś — w niedzielę, 23 lipca — zapisuję swoje refleksje związane z wyborem prezydenta PRL i próbuję przewidzieć możliwe tego faktu następstwa, a gdy pismo dotrze już do rąk czytelnika, może się okazać, iż pomyliłem się sromotnie. I będzie wyglądało na to, iż nie nie śledzę tego, co w Polsce się dzieje.

Mimo tych obaw spróbuję.

Tak tedy znowu mamy prezydenta. 19 lipca Zgromadzenie Narodowe po 6,5 godz. obrad dokonało wyboru głowy państwa. Jak chyba większość Polaków, z uwagą śledziłem telewizyjny przekaz z tego doniosłego wydarzenia. Śledziłem z dużym zainteresowaniem, ale i pewną dozą irytacji. Odnosiłem wrażenie, iż posłowie i senatorowie, zgromadzeni w gmachu przy ul. Wiejskiej 2, chwilami zapominali, po co się tam zebrali. Dopiero po dwugodzinnej dyskusji udało im się osiągnąć consensus co do sposobu głosowania i uchwalili regulamin wyboru prezydenta.

Rozumiem oczywiście, że sprawa była najwyższej wagi, ale owe kolejne głosowania nad wariantami, podwariantami i poprawkami były wręcz żenujące, zaś efekt końcowy tej debaty zgoła zabawny. Oto bowiem, przy jednoznacznym opowiedzeniu się za głosowaniem jawnym, wybrano wariant najmniejszej jawności. Poseł Adam Michnik stwierdził, że wyniki głosowania będą jawne dla Służby Bezpieczeństwa, a nie dla członków Zgromadzenia i wyborców. Jest to oczywiście przesada, ale nie taka znowu wielka. Osobiście bowiem nie wiem, jak głosowali posłowie i senatorowie z mojego okręgu, a chciałbym wiedzieć. Zresztą chyba nie ja jeden.

Ostatecznie jednak consensus osiągnięto i prezydenta wybrano. Został nim — jak wiadomo — dotychczasowy przewodniczący Rady Państwa, I sekretarz KC PZPR, zwierzchnik Sił Zbrojnych, gen. armii Wojciech Jaruzelski. Wszystkie te funkcje wymieniam tu nie bez przyczyny. One to właśnie już w momencie zgłaszania kandydatury czyniły ją wiarygodną, świadcząc o kompetencjach W. Jaruzelskiego do piastowania tej najwyższej w Polsce godności. Kandydatura owa wydawała się oczywistą ze względu na uwarunkowania wewnętrzne, jak i międzynarodowe. Z jednej strony bowiem W. Jaruzelski jako prezydent PRL jest gwarantem ciągłości władzy w Polsce, a zarazem kontynuowania linii demokratycznych przemian, z drugiej zaś jest wiarygodnym partnerem zarówno dla Wschodu, jak i dla Zachodu.

Toteż byłem nieco zaskoczony wyborem Wojciecha Jaruzelskiego tak nikłą (dokładnie minimalną) większością głosów. Ażeby objąć urząd prezydencki, kandydat musiał otrzymać 269 (według posła Rokity z Krakowa: 270 — jeszcze jedna żenująca historia z wyborów) głosów. W. Jaruzelski otrzymał ich 270. Co to oznacza?

Otóż oznacza to, iż przeciwko kandydaturze generała Jaruzelskiego głosowali nie tylko członkowie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, ale także część przedstawicieli koalicji. Zwróćmy uwagę: część posłów z koalicji nie ograniczyła się do wstrzymania się od głosu, ale głosowała przeciw kandydaturze W. Jaruzelskiego, wyrażając tym samym wobec niego swoje votum nieufności.

Wynika stąd zatem, iż generał Jaruzelski i linia, którą reprezentuje, ma przeciwników w gronie własnych sojuszników. Toteż jako jedno z pierwszych zadań prezydenta widzę konieczność przekonania do siebie i swojego programu tych wszystkich, którzy byli niezdecydowani i przeciwni kandydatowi. Jeśli bowiem Wojciech Jaruzelski chce być (a chce) prezydentem wszystkich Polaków, nie może opierać się na części kulawej w gruncie rzeczy koalicji, lecz skupić wokół swojego programu wszystkie siły reformatorskie, niezależnie od ich politycznej barwy.

Tak tedy owa konsolidacja sił reformatorskich — a co najmniej próba jej dokonania — jest tym, co — jak sądzę — czeka nas w niedalekiej przyszłości. Co poza tym? Przede wszystkim gruntowne „przemeblowanie", a być może całkowita zmiana gabinetu, premiera nie wyłączając. Co prawda hasło Adama Michnika: „Wasz prezydent, nasz premier" nie znalazło zbyt dużego poparcia wśród opozycji, która w ogóle nie bardzo kwapi się do przyjęcia choćby części władzy, ale jest rzeczą jasną, że prędzej czy później będzie się musiała zdecydować na wejście do rządu. Tylko taki gabinet będzie bowiem wiarygodny dla obydwu stron. Należy także oczekiwać zmian w najwyższym kierownictwie partii. Co było zgodne z oświadczeniem Wojciecha Jaruzelskiego, że w przypadku wyboru zamierza skupić się na piastowaniu urzędu prezydenta.

Nie będę tu bawił się w rozważanie personalnych kandydatur na stanowiska, które — jak mniemam — wkrótce będą wakować, aczkolwiek po cichu mam swoich faworytów, którym życzę powodzenia. Myślę, iż będzie okazja, by do tego tematu powrócić w odrębnym komentarzu.

„Ja - jako weteran walki i pracy - powiadam stanowczo:

HAK NA MASARZA

Zbigniew Dzięciołek

PRZY ul. Lubartowskiej 20 funkcjonował do niedawna prywatny sklep wędliniarski Zbigniewa Cioczka. W związku z przewidzianą budową kolektora — dom, w którym sprzedawał swoje wyroby Z. Cioczek, został przeznaczony do rozbiórki. Właścicielowi zaproponowano lokal w pomieszczeniach likwidowanego sklepu mięsnego przy ul. Lipowej 17. Zadecydował o tym Wydział Handlu, Drobnej Wytwórczości i Usług w porozumieniu z prezesem LSS „Społem". Nikt się jednak nie spodziewał, iż decyzja ta rozpęta burzę pism i protestów. Działacze Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców „Śródmieście" i przedstawiciele Koła ZBoWiD z tejże dzielnicy stanęli murem. „Nie pozwolimy!" — zakrzyczeli. „W przypadku utrzymania w mocy tego bezprawia zainteresujemy tą sprawą centralne organy władzy państwowej i opozycję" — napisali w skardze do Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego.

Taki był początek sporu. Związkowi i osiedlowi działacze ruszyli do natarcia w poczuciu dziejącej się im krzywdy. Pisma zaczęły krążyć od urzędu do urzędu.

„KOSM Śródmieście — czytamy w opinii skierowanej do Wydziału Handlu, Drobnej Wytwórczości i Usług UM — w porozumieniu z KOSM nr 9, 12, 14 nie wyraża zgody na zmianę sklepu mięsnego na punkt sprzedaży mięsa z uboju gospodarczego [...]. Sklepy branży mięsnej, znajdujące się w naszej dzielnicy, nie zabezpieczają w pełni swobodnej możliwości zakupu mięsa, zwłaszcza przez ludzi starszych i schorowanych [...]".

Wiceprezydent Dobrzyński wyjaśniał:

„Istnieje pilna potrzeba szukania poza systemem reglamentacji źródeł poprawy zaopatrzenia rynku w artykuły mięsne. W centrum miasta funkcjonuje duża ilość sklepów mięsnych, dlatego też zmiana formy sprzedaży w jednym sklepie, nie spowoduje zakłóceń w realizacji kart zaopatrzenia [...]".

Związkowcy byli innego zdania. W piśmie do przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, Tadeusza Pokrzyckiego uzasadniali je: „Ta część osiedla Śródmieście jest, niestety, bardzo uboga w sieć handlową, a szczególnie w zakresie zaopatrzenia się w mięso i jego wyroby [...]". Podpisał: prezes Koła ZBoWiD nr 3 „Śródmieście" mjr rez. Władysław Lembicz.

Decyzję władz poparła Komisja Zaopatrzenia Ludności, Usług i Rolnictwa przy MRN, uzasadniając ją przewidywanym zniesieniem reglamentacji, a zatem straciłby na aktualności protest zgłoszony przez KOSM „Śródmieście". Działacze widzą jednak sprawę inaczej. Z kartkami czy bez, sklep musi prowadzić sprzedaż pełnego asortymentu mięsa i wędlin. Na inne rozwiązanie nie wyrażają zgody.

TYMCZASEM 24 lutego 1989 roku dyrektor Wydziału Spraw Lokalowych UM przydziela pisemnie Zbigniewowi Cioczkowi lokal przy ul. Lipowej 17. Reakcja działaczy i związkowców jest natychmiastowa. Wysyłają kolejny protest, tym razem do przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, Antoniego Pieniążka:

„[...] Wyrażamy pogląd, że decyzje dotychczas podejmowane przez władze LSS, UM i MRN są dowodem bezprzykładnego nieliczenia się z opinią Samorządu Mieszkańców i godzenia w żywotne interesy mieszkańców tej dzielnicy oraz są sprzeczne z duchem reformy i zasadami życia społecznego [...]".

Następny protest trafia na biurko zastępcy dyrektora Wydziału Handlu i Usług UM. Dyrektor poleca wyjaśnić sprawę, w trybie pilnym, odpowiedniemu wydziałowi Urzędu Miejskiego. Jan Radko (dyr. Wydz. Handlu... UM) wyłuszcza rzecz całą punkt po punkcie. Podstawowym celem zmiany sprzedaży w sklepie nr 205 było zwiększenie dostaw mięsa i wyrobów wędliniarskich dla miasta ze źródeł pozareglamentacyjnych. Przekwaterowanie Z. Cioczka było konieczne ze względu na planowane wyburzenie budynku przy ulicy Lubartowskiej. Natomiast zarzuty KOSM dotyczące braku możliwości zakupów są bezpodstawne, gdyż rejon ten ma największą liczbę sklepów mięsnych w Lublinie. W promieniu 500 metrów od dotychczasowego punktu sprzedaży, który funkcjonuje 2—3 godziny dziennie, znajduje się 7 innych sklepów mięsnych. Zaś w perspektywie zniesienia reglamentacji tak małe placówki — jak ta przy ul. Lipowej — będą musiały ulec likwidacji, gdyż jednostki handlowe będą dążyć do maksymalnej rentowności dużych placówek. Jan Radko uważa, iż decyzja jego była słuszna, a protest Komitetu Osiedlowego ma podłoże przede wszystkim ambicjonalne.

Działacze KOSM i ZBoWiD mają jednak swoje racje, a kolejne pisma kierowane do różnych urzędów i instytucji świadczą o tym, że nie zamierzają zrezygnować z walki. W wyniku licznych interwencji Prezydium MRN, na posiedzeniu w dniu 14.03.89 r. ustala, że w sklepie mięsnym nr 205 utrzymana zostaje, zgodnie z propozycją KOSM „Śródmieście" reglamentowana sprzedaż mięsa i jego przetworów. Równocześnie dyrektor Wydziału Spraw Lokalowych UM utrzymuje w mocy swą dotychczasową decyzję. Skargi i zażalenia płyną nadal.

W Urzędzie Miejskim rozmawiam z dyrektorem Wydziału Handlu, Drobnej Wytwórczości i Usług, Janem Radko:

Fot. Waldemar Stępień

— Przyszedł pan zapewne dowiedzieć się, jak to urząd gnębi biednych mieszkańców — uprzedza moje pytanie dyrektor. — Otóż muszę pana rozczarować. Nikt nikogo nie gnębi, a decyzje podjęte przeze mnie i dyrektora Piątkowskiego były podyktowane dobrem ogółu mieszkańców miasta. Nie można patrzeć na tę sprawę przez pryzmat partykularnych interesów danej grupy, nawet gdyby były one częściowo słuszne.

W Lublinie, mówił dyr. Radko, działa czterech rzemieślników, którzy łącznie produkują około 50 ton wędlin i podrobów miesięcznie. Jest to kropla w morzu, gdyż potrzeby są znacznie większe. Ale 65 sklepów państwowych świeci pustkami i nic nie wskazuje, że ta sytuacja poprawi się w najbliższym czasie. Wręcz przeciwnie. Planuje się zamknięcie części sklepów mięsnych i wysłanie pracowników na urlop. Nagimi hakami trudno bowiem handlować. W kolejce po przydział lokalu czeka następnych czterech masarzy. Sprzeciw komitetów osiedlowych powoduje, że Lublin traci co miesiąc kilkadziesiąt ton wędlin i podrobów. Rynek kartkowy musi upaść. Ceny detaliczne nijak nie mają się do cen skupu, które z kolei przestały gwarantować opłacalność produkcji rolnej. Efekty tej polityki widać najlepiej w sklepach.

— Dlatego nie rozumiem uporu działaczy KOSM i ZBoWiD — dodaje Jan Radko. — Przecież funkcjonowanie tego typu placówki leży również w ich interesie...

— Protestujący twierdzą jednak — przerywam dyrektorowi — że ta część dzielnicy jest uboga w sieć handlową, a szczególne trudności mają z zaopatrzeniem się w mięso i jego przetwory.

— Pan sobie chyba kpi ze mnie — otwiera ze zdziwienia oczy dyrektor. — Siedem sklepów mięsnych w promieniu 500 metrów to mało?! A co mają powiedzieć mieszkańcy Czubów, gdzie w całej dzielnicy funkcjonują dwa obiekty handlowe tej branży? Nie można na każdym rogu ulicy sytuować kolejnych sklepów tylko dlatego, że iluś tam mieszkańców będzie miało 300 metrów dalej po zakupy. To są pobożne życzenia, na których realizację, jak na razie, nas nie stać. Ale nawet gdyby uczynić zadość żądaniom KOSM, to niech mi pan powie, co sprzedawalibyśmy w tych sklepach?

Dyrektor Włoch z Wydziału Spraw Lokalowych podziela opinię Jana Radko. Obaj też twierdzą, że Prezydium Miejskiej Rady Narodowej nie ma prawa anulować decyzji podjętej przez organ administracji państwowej. Toteż ich poczynania zgodne są z literą prawa.

ZAINTERESOWANY bezpośrednia lokalem, Zbigniew Cioczek, rozkłada ręce.

— Cóż ja mogę powiedzieć? Myślałem, że mając prawomocną decyzję mogę przynajmniej obejrzeć sklep, który przydzieliły mi władze. Srodze się jednak zawiodłem. Przedstawiciele KOSM sprowadzili mnie natychmiast na ziemię, dając niedwuznacznie do zrozumienia — kto tu jest gospodarzem terenu. Czułem się tam po prostu jak intruz. Nie przewidywałem takiego przyjęcia, gdyż od 1975 do 1981 roku tzn., do chwili wprowadzenia kartek, właśnie w tym sklepie sprzedawałem swoje wyroby wraz z trzema innymi rzemieślnikami. Nikt wtedy nie protestował. Wręcz przeciwnie. Ludzie byli zadowoleni.

— Działacze KOSM twierdzą, że sprzedaje pan tylko podroby — przedstawiam jeden z zarzutów.

— Wierutne kłamstwo — replikuje Zbigniew Cioczek. — Od ponad roku oprócz pasztetówki, kaszanki i kilku rodzajów salcesonu, produkujemy pełny zestaw wędlin i wędzonek... Droższe jak państwowe? Zgoda, tylko że ja nie otrzymuję żadnych dotacji. Muszę więc skalkulować cenę przynajmniej na granicy minimum opłacalności. Prawdą natomiast jest, iż nie handluję mięsem. Jestem przede wszystkim masarzem, a nie rzeźnikiem — wyjaśnia. — Nie mam zresztą ku temu odpowiednich warunków. W przyszłości, jeżeli sytuacja na rynku nie poprawi się, będę musiał pomyśleć o własnej ubojni. W ten sposób uniezależniłbym się od przydziałów z zakładów mięsnych i mógłym rozszerzyć dotychczasowy asortyment...

Zawód masarza to u Cioczków tradycja. Ojciec zaczynał jeszcze w 1945 roku, na Furmańskiej, a później na Świętoduskiej, tam gdzie do niedawna mieściła się kawiarnia „Pod Arkadami". Interes rozwijał się. W 1950 roku władze uznały, że prywaciarz to symbol „zgniłego kapitalizmu" i o wyrobie wędlin można było tylko poma-

NIE!!!"

rzyć. Przerwa trwała do 1959 roku. Po czym sukcesywnie rozwijali działalność, dostarczając swoje wyroby do sklepów państwowych. W 1986 roku otworzyli, jako pierwsi w Lublinie, własny sklep wędliniarski, który cieszył się dobrą opinią wszystkich klientów. Teraz czekają na przeprowadzkę. Gdzie? Czas pokaże.

PRZED spotkaniem z przedstawicielami KOSM „Śródmieście" czytam kolejny list, który adresowany jest do redakcji „Sztandaru Ludu": „[...] Nie wiem jak ten produkt smakuje, gdyż po prostu pasztetówki i innych wyrobów podrobowych (z tytułu przeciwwskazań lekarskich) nie jadam i nie jada go na pewno wiele osób. [...] Przecież Ob. Cioczek może swoje wyroby dostarczać do sieci detalicznej w naszym mieście, w tym i do sklepu przy ulicy Lipowej 17, które chętnie te artykuły przyjmą. Woli on jednak dorabiać się szybko i sam, gdyż nie chce dzielić się marżą [...]. Czy w imię popierania nowobogackich, mamy godzić się z dalszym obniżaniem poziomu naszego życia? Ja, przynajmniej — jako weteran walki i pracy — powiadam stanowczo — NIE!!!" — pisze w imieniu współredaktorów tego listu i „podobnie myślących" Jan Ojrzyński, członek ZBoWiD.

Marian Kurtz, przewodniczący KOSM „Śródmieście" i Bronisław Osicki, wiceprzewodniczący KOSM nr 12 nie ukrywają swego zdenerwowania.

— Proszę pana to skandal — powiadają. — Władze chcą zlikwidować placówkę prowadzącą sprzedaż pełnego asortymentu mięsa i wędlin. W naszej dzielnicy mieszkają osoby starsze i schorowane, a także 635 kombatantów. Zamiast ułatwić tym ludziom życie, robi się wszystko, aby utrudnić im codzienne zakupy. My się na to nie zgadzamy. Ustanowiliśmy codzienne dyżury członków KOSM, ZBoWiD, PRON i nie dopuścimy do bezprawnego przekazania sklepu przez LSS panu Cioczkowi. Taka jest wola wszystkich mieszkańców dzielnicy. Władze, jak chcą być dobrym wujkiem, to niech dadzą panu Cioczkowi lokalizację i niech sobie buduje własny sklep, a nie wciska się tam, gdzie go nie chcą. My jesteśmy zadowoleni z działalności dotychczasowej placówki — dodają. — Zresztą obaj realizujemy tam kartki i nie mamy w tym względzie żadnych zastrzeżeń.

— Poleciliśmy personelowi sklepu — stwierdzają na koniec — aby pod żadnym pozorem nie wydawał kluczy panu Cioczkowi. Nawet gdyby zniesiono kartki, to ten sklep musi prowadzić sprzedaż i mięsa, i wędlin. Od tego nie odstąpimy.

Może rzeczywiście prywaciarz jest niepotrzebny?

STANISŁAW Czech jest również masarzem. Wspólnie z synem prowadzi masarnię i sklep wędliniarski przy al. Kraśnickiej. Przed domem, zamienionym w połowie na sklep — pusto. Trwa przerwa wakacyjna. Właściciel jednak nie odpoczywa. Pomieszczenia trzeba odświeżyć, maszyny oczyścić. Pracy wystarczy na cały miesiąc. Przy filiżance kawy rozmawiam z właścicielem o działalności jego firmy. Pan Stanisław, podobnie jak Zbigniew Cioczek, produkuje miesięcznie około 15—16 ton wędlin i podrobów. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się, aby czegoś nie sprzedał. Sklep zamknął dwa tygodnie temu, a ludzie cały czas przychodzą pytając, czy chociaż kilograma salcesonu lub pasztetówki nie ma na zbyciu. Narzeka natomiast na krępujące go przepisy. Świni bezpośrednio od gospodarza kupić nie może, bo zaraz służba weterynaryjna zakwestionuje, a przecież można by tak całą rzecz zorganizować, że i higiena byłaby zachowana i więcej wędlin trafiłoby na rynek. Dobrych chęci brakuje — powiada na koniec.

W sklepie przy ulicy Lipowej 17 trwa remont. Sklep przy ulicy Lubartowskiej jest zamknięty. Ciąg dalszy dopisze samo życie.

Nie można jednak nie dostrzegać pogarszającej się sytuacji na rynku mięsnym i rosnących w zastraszającym tempie dotacji rządu do mięsa i jego przetworów. Tylko w ub. roku wyniosły one ponad 600 mld zł, a w tym roku dotacje do wszystkich artykułów spożywczych osiągną sumę 2,5 biliona zł.

Zbigniew Cioczek żadnych dotacji nie potrzebuje.

„POLMOS" PRZED SĄDEM (7)

Izabella Wiazłowska

JEST 30 maja br. Po przeczytaniu przez prokuratora aktu oskarżenia, Alina Ł. mówi wolno:

— Zarzuty aktu oskarżenia zrozumiałam. Przyznaję się, ale nie do wszystkich zarzutów.

Po chwili rozpoczyna składanie wyjaśnień:

— Miesiąca nie pamiętam, ale wiem, że to było na wiosnę 1982 roku. Wezwał mnie do siebie wojewoda lubelski Tadeusz W. Zadzwonił, żebym do niego przyjechała. W. znałam osobiście, bo wcześniej, gdy pracowałam w Zakładach Zbożowych w Lublinie, był moim dyrektorem. Wojewoda powiedział, że ma bardzo ważne potrzeby służbowe i prosił, żeby przywieźć mu alkohol. Nie określił o jaką ilość alkoholu chodzi. Wyraziłam zdziwienie na jego propozycję. Wtedy wojewoda wyjaśnił mi, że mam zgłosić się do Kazimiery W., kierowniczki laboratorium i powiedzieć jej, że ten alkohol ma być dla niego, a ona będzie już wiedziała, jak ma to załatwić. Chciałam dodać, że Tadeusz W. pracował wcześniej w „Polmosie" na takim samym jak ja stanowisku.

Tego dnia przekazałam Kazimierze W. prośbę wojewody. Po upływie 2—3 dni W. dała mi przygotowany dla wojewody alkohol. Mogło to być 5—6 butelek. Tego samego dnia wojewoda przysłał po mnie samochód i osobiście zawiozłam mu alkohol. Tego rodzaju prośby ze strony wojewody powtarzały się z różną częstotliwością. Myślę, że wojewodzie przekazałam w ten sposób od 250 do 300 butelek różnego alkoholu.

W 1985 roku wojewoda poprosił mnie o dostarczenie jednorazowo 100 butelek alkoholu, część miała być spirytusu. Nie wiedziałam jak to załatwić. Zwróciłam się do Józefa K., który zastępował wówczas nieobecnego dyrektora Ł. K. powiedział, że należy porozmawiać z dyrektorem Ł., bowiem ilość alkoholu jest znaczna i Ł. powinien o tym wiedzieć. Te 100 butelek zostało przygotowanych przez Włodzimierza T. Stały one w kartonach, w świetlicy. Przyjechał po nie kierowca z sekretarzem wojewody.

Nadmieniam, że nigdzie nie odnotowywałam, ile butelek alkoholu przekazałam wojewodzie. Przekazując wódkę, działałam w przeświadczeniu, że robię to dla dobra województwa, że wspomagam władze wojewódzkie w podejmowaniu różnych delegacji krajowych i zagranicznych. W pozyskiwaniu — poprzez gościnę świadczoną przez wojewodę — m. in. aparatury dla szpitala wojewódzkiego, środków na budowę szpitala i wielu innych ważnych dla województwa spraw. Ja z tego nie miałam żadnej korzyści. Podałam, w jaki sposób doszło do popełnienia przeze mnie przestępstwa i wciągnięcia mnie do tego czynu przez wojewodę Tadeusza W.

Jest godzina 13.20. Przewodnicząca składu orzekającego zarządza przerwę w rozprawie do dnia 31 maja, do godz. 9.

Kolejny dzień rozprawy. Alina kontynuuje składanie wyjaśnień:

— Pracownik „Polmosu" Jan F., kierownik działu techniczno-inwestycyjnego zwrócił się do mnie z prośbą o to, by umówić go z wojewodą. Chodziło o asygnatę na samochód osobowy dla jego żony, która jest lekarzem w Niedrzwicy. Poprosiłam wojewodę, aby znalazł czas na spotkanie ze mną i Janem F. Byliśmy u niego dwa razy. Przekazałam wojewodzie alkohol otrzymany od F., w sumie 5 butelek. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, skąd Jan F. uzyskał alkohol. F. otrzymał dla swojej żony przydział na samochód ładę.

W zarzucie X aktu oskarżenia mieści się jeszcze sprawa przekazania alkoholu wiceprezydentowi Lublina Zdzisławowi G. W związku z tym chcę wyjaśnić co następuje:

— Było to pod koniec czerwca lub na początku lipca 1985 roku. Zdzisław G. zadzwonił do mnie z poleceniem, abym do jego gabinetu przywiozła 15 butelek alkoholu. Zdzisław G. był wiceprezydentem miasta Lublina ds. handlu i znałam go stąd, że co miesiąc odbywały się zebrania dyrektorów zaopatrujących rynek lubelski w swoje wyroby. Zwróciłam się do Kazimiery W., aby przygotowała mi 15 butelek wódki różnych gatunków. Wspólnie z Józefem K. zawieźliśmy alkohol do wiceprezydenta G. Nie zastaliśmy go. W rozmowie telefonicznej wskazał nam miejsce gdzie mamy alkohol zostawić, tj. u niego w gabinecie na regale.

W miesiącach letnich 1987 roku przyszedł do mnie Jan R., kierownik wydziału handlu i usług Urzędu Miasta w Lublinie i poprosił w imieniu prezydenta Jana D., który w tym czasie objął stanowisko po Zdzisławie G., abym dla potrzeb miasta przygotowała kilka butelek alkoholu. Przekazałam mu 4 butelki, które stały jako ekspozycja naszych wyrobów w moim gabinecie.

Było to chyba w 1982 roku. Pracownik „Polmosu", kierownik gorzelni i ratyfikacji Waldemar G. zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w rozmowie z ówczesnym prezydentem Lublina Longinem Z. w sprawie uzyskania działki budowlanej. Z. znałam osobiście z poprzedniej jego działalności społecznej. Telefonicznie zapytałam Z., co trzeba z ramienia zakładu zrobić, żeby Waldemar G. uzyskał działkę budowlaną. Otrzymałam odpowiedź prezydenta, aby „Polmos" wystąpił z pismem argumentującym potrzebę przydzielenia G. działki. „Polmos" wystąpił z takim pismem i G. otrzymał działkę budowlaną. Po 2—3 tygodniach G. zaproponował mi, abyśmy udali się do prezydenta podziękować za załatwienie sprawy. Byliśmy u niego dwukrotnie. Ja przekazałam Longinowi Z. łącznie 6 butelek spirytusu, które uprzednio otrzymałam od G. W tym czasie prezydent miał gości z Wiednia, Węgier i Rosji i powiedziałam mu, że będzie miał alkohol na przyjęcie gości.

W 1986 roku zachodziła pilna potrzeba wykonania remontu kotłowni na oddziale drożdży piekarskich, bez przerywania pracy produkcyjnej. Jedyną instytucją, która mogła wykonać te prace było Przedsiębiorstwo Budowy Pieców Przemysłowych, którego dyrektorem był w tym czasie były prezydent Lublina, Longin Z. Z. przyjął prace, które wykonane zostały w krótkim czasie. Dziękując mu za to, dałam 3 butelki wódki gorszego gatunku. Alkohol ten otrzymałam od Józefa K., który był odpowiedzialny za prawidłową pracę kotłowni.

Sąd przerywa Alinie Ł., chcąc się dowiedzieć, w jaki sposób Kazimiera W. i Włodzimierz T. rozchodowali dokumentacyjnie alkohol, który jej przekazywali.

Alina Ł.: — Nie umiem odpowiedzieć na pytanie sądu. Oni nigdy mi nic na ten temat nie mówili, a ja nie byłam zorientowana w procesie technologicznym rozlewni wódek. Nie mogę powiedzieć czy i w jakim momencie mogły powstać nadwyżki, którymi ewentualnie byłby pokryty ten alkohol, który ja rozdawałam.

Następnie Alina Ł. składa wyjaśnienie, z którego wynika, że nie wszystko co zawiera akt oskarżenia i składane przez nią zeznania w śledztwie są zgodne z prawdą, bowiem do ich złożenia była zmuszana przez przesłuchujących ją funkcjonariuszy MO. Ale o tym już w następnej relacji.

(cdn.)

LISTY

„WYPROWADŹMY SIĘ DO BUSZU"

Nawiązując do artykułu pana prof. dr. hab. Tomasza Goworka, kierownika Zakładu Fizyki Jądrowej Instytutu Fizyki UMCS („Wyprowadźmy się do buszu!" w 23 numerze „Relacji"), pragnę przedstawić własne skromne stanowisko. Po części muszę przyznać rację panu profesorowi. Chodzi o zanieczyszczenie środowiska naturalnego produktami ubocznymi, powstałymi w wyniku działania przemysłu ciężkiego. Mieszkam w osiedlu „Motor" przy ulicy Przyjaźni. W lecie zanieczyszczenia powietrza (swoistego zapachu FSC) nie odczuwa się, bo liście produkują tlen. W zimie zaś, gdy ich nie ma, oddychanie nie należy do przyjemności. Wiem, że z ochroną środowiska w naszym kraju jest źle. Zanosi się na to, że niewiele zmieni się w nadchodzącej przyszłości. Jaki ma na to wpływ jednostka? Jaki mam wpływ na zanieczyszczenie środowiska? Na zmniejszenie zanieczyszczenia? Żaden.

Elektrownia atomowa to nie tylko problem budowniczych, fizyków jądrowych i innych specjalistów. To problem także lekarzy. Może wydać się to argumentem nie na miejscu, ale brakuje strzykawek, niektórych lekarstw, do pewnego czasu po środki opatrunkowe ustawiały się gigantyczne kolejki. Jak więc jesteśmy przygotowani na przyjęcie „nowo narodzonego"?

Ktoś powie, że postęp musi być, bo bez tego ani rusz. Zgoda. Przecież nie można tkwić ciągle w jaskini, bo postęp przyniesie wygodę mieszkania w jasnych pięknych domach. Jeżeli zdecydujemy się na budowę elektrowni atomowej (być może nie będzie innej możliwości), to należy zwrócić uwagę na: jej lokalizację (ulokowanie jej w Chotczy to siadanie na nadłamanej gałęzi), gęstość zaludnienia, klasę gruntów (najmniej przydatną rolnictwu), pas ochronny (stworzony sztucznie), stworzenie aparatu natychmiastowego ostrzegania na wypadek awarii, racjonalną gospodarkę wodą.

Nie wiem dlaczego oskarża się „zielonych" o to, że utrudniają rozwój postępu technicznego. Gdy zdarzają się katastrofy, to giną ludzie. I to jest normalne. Gdy zdarzają się katastrofy, to ratuje się tyle osób, ile można uratować. To chyba normalny ludzki odruch.

Irena Gąszcz
Lublin

JAKIE „RELACJE"?

Jestem stałym czytelnikiem „Relacji". Zauważyłem, że mają one profil „czysto" historyczny. Sam jestem studentem historii i z uwagą czytam artykuły moich wykładowców. Obawiam się jednak, że „Relacje" z powodu pomijania niektórych tematów — np. muzyki, kultury — nie docierają do młodych czytelników. Sądzę, że zamieszczanie od czasu do czasu artykułu np. o muzyce tzw. młodzieżowej mogłoby rozszerzyć krąg czytelników „Relacji", a tym samym zainteresować ich problematyką najnowszych dziejów Polski.

Piotr Żurowicz
Lublin

„JAK PRZEGRAŁEM SEJM"

W artykule „Jak przegrałem Sejm" („Relacje" 23) Henryk Pająk uskarża się publicznie, że Wydawnictwo Lubelskie, które wkrótce opublikuje Jego powieść „Za cieniem cień" wydają — cytuję „w obelżywym nakładzie 9700 egzemplarzy". Mniej zorientowany czytelnik, który wcale nie musi wiedzieć, jak ustala się nakład książki, może odnieść wrażenie, że Wydawnictwo Lubelskie znalazło się wcześniej w gronie tych, co nie głosowali na kandydata na posła — Henryka Pająka. Wręcz przeciwnie, szanujemy naszego autora i wysoko sobie cenimy jego twórczość. Cóż jednak można począć, kiedy zamówienia rynku księgarskiego na książki Henryka Pająka są ostatnio bardzo niskie. Na książkę „Za cieniem cień" zebraliśmy zamówienia tylko na 4500 egz., więc drukując ją w nakładzie 10 tys., podejmujemy ryzyko, że część nie zamówiona może być nie sprzedana. Autor o tych faktach był dobrze poinformowany, stąd użycie owego zwrotu jest co najmniej zaskakujące.

Ireneusz Caban

NOTATNIK ANGIELSKI (5)

Andrzej W. Pawluczuk

6 maja, przed południem

Dzisiaj po południu mam pojawić się w Brighton, dokąd przyjedzie też teatr „Gardzienice", aby na międzynarodowym festiwalu teatru i muzyki dać trzy przedstawienia „Awwakuma". Kiedy żegnaliśmy się w Lublinie, Włodzimierz Staniewski uprzedził mnie jednak, że mogą nie dotrzeć na czas do Brighton, więc muszę sam zadbać, aby biuro festiwalu zarezerwowało mi nocleg. Przemili ludzie z „Gardzienic" zatroszczyli się o to, abym nie zgubił się w Anglii. Mam więc nie tylko przewodnik po festiwalu, wydany z dużym wyprzedzeniem, ale także nabity informacjami notes, gdzie zapisałem nawet takie szczegóły, jaką linią metra dojadę do dworca kolejowego Victoria Station i na jakiej stacji mam wysiąść. Wszystko to podyktował mi w biurze „Gardzienic" na Grodzkiej p. Rodowicz, po czym skrupulatnie sprawdził, czy dobrze zapisałem. A więc nie mam prawa się zgubić.

Telefonuję do koleżanki po fachu, rzecznika prasowego festiwalu, Lianne Jarrett. Jej funkcja nazywa się wojskowo, brzmi bowiem „Press and Publicity Officer". Niestety, miss Jarrett nic nie wie o moim przyjeździe, a więc i o hotelu dla mnie. Ale obiecuje sprawdzić, a jeżeli nikogo kompetentnego nie zastanie w biurze organizacyjnym, to santa załatwi moją sprawę. Jeżeli bowiem jestem razem z „Gardzienicami", to jest oczywiste, że nie mogę mieć żadnych kłopotów. Wszyscy czekają na przyjazd polskiego zespołu, ponieważ słyszeli, że należy do światowej czołówki awangardy teatralnej. Tymczasem, mówi miss Jarrett, muszę zaczekać jakieś pół godziny i zatelefonować do niej potórnie.

Pół godziny później okazuje się, że wszystko jest o'key. Po przyjeździe do Brighton mam stawić się w hotelu „Cosmopolitan" przy ulicy New Steine. Tam już o tym wiedzą i przygotują dla mnie pokój.

Z Londynu jedzie się do Brighton półtorej godziny szybkim, czystym i punktualnym pociągiem. W bufecie wybór dań większy niż w każdym lubelskich barze, nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak chłodzone napoje i kilka rodzajów piwa (także z lodówki). A jest to pociąg, który w polskiej nomenklaturze nazywany byłby podmiejskim, co zawsze równoznaczne jest z brudem, smrodem w zatkanych toaletach, tłokiem i niepunktualnością. A już nikt nigdy w PRL nie słyszał chyba o bufecie w podmiejskim pociągu. Zapewne dlatego, że jak do wszystkiego innego w gospodarce socjalistycznej, tak i do tego przedsięwzięcia trzeba byłoby dopłacać.

6 maja, po południu

Po przyjeździe do Brighton popełniam od razu dziecinny błąd, który zdradza moje wschodnioeuropejskie i socjalistyczne pochodzenie. Zasugerowany światową nazwą „Cosmopolitan Hotel" wyobrażam sobie lśniący od niklu wieżowiec, a przed drzwiami zgiętych wpół szwajcarów. Jakiś głupi zatem automatyzm myślowy każe mi pytać o „Cosmopolitan", a nie o ulicę, przy której stoi. Dopiero taksówkarz sprowadza mnie na twardy, kapitalistyczny grunt; w każdym mieście znajduje się kilkadziesiąt mniejszych i większych hoteli, toteż nikt nie próbuje nawet spamiętać ich nazw. Ponadto wyjaśnia mi z uśmiechem, że im hotel mniejszy i gorszy, tym większe ma zadęcie i tym bardziej światową nazwę. Po czym rezygnuje z zarobienia na mnie paru funtów i wskazuje przystanek komunikacji miejskiej, którą dojadę na miejsce za trzydzieści pensów.

Komunikacja miejska okazuje się także być firmą, która kalkuluje i oszczędza. Na przystanku zjawia się bowiem nie duży autobus, ale mikrobus. Na liniach, gdzie jest mniejszy ruch, a także w tych porach dnia, kiedy nie ma tłoku, na miasto wysyłane są takie właśnie małe autobusiki. Jeździ się nimi przyjemnie, prawie jak w taksówce, ale cena pozostaje bez zmian. Podobne przedsięwzięcie w Lublinie w latach siedemdziesiątych, kiedy to wydawało nam się, że tylko krok dzieli nas od Europy, skończyło się fiaskiem. Nie opłacało się, chociaż przejazd nyską kosztował wówczas dziesięć złotych (zaś bilet na autobus MPK złotówkę) i nie jeździły one raczej puste. Cóż, co kraj, to obyczaj, a co obyczaj, to inny poziom życia.

Kiedy znajdę swój hotel, okazuje się, że mój taksówkarz miał rację. Za dumnym szyldem krył się bowiem niewielki pensjonat. Był to najzwyklejszy szeregowy domek jednorodzinny, tyle że — jak wszystkie na New Steine — dwupiętrowy i z zabudowanym poddaszem. Za to wewnątrz aż dwadzieścia pokoi, duża jadalnia i sala klubowa, a do tego jeszcze niewielki barek kawowy suto zaopatrzony (lepiej niż nasze sklepy Pewexu) w alkohole i piwo.

W przewodniku po Brighton znajduję, że tutejsze hotele podzielone są na sześć kategorii. Pierwsza to takie, gdzie nocleg kosztuje od pięćdziesięciu funtów wzwyż (a są i po 170 funtów), zaś w najniższej kategorii można się przespać za funtów piętnaście. Mój hotelik należy do trzeciej klasy, a pokoje kosztują tutaj od dwudziestu pięciu do trzydziestu ośmiu funtów za dobę.

Żona właściciela, pani Nicholas wita mnie uprzejmie i wręcza dwa klucze: jeden do numeru, drugi do drzwi wejściowych. Oczywiście wie, że miałem przyjechać, telefonowano do niej z biura festiwalu, aby upewnić się, czy także dla mnie znajdzie się miejsce. Pokój jest bardzo mały, ale dobrze wyposażony. Oczywiście łazienka, kolorowy telewizor, radio i telefon. Brakuje mi natomiast stolika, przy którym mógłbym zanotować parę słów. Ale cóż, zdecydowaną większość gości hotelowych na całym świecie stanowią oglądacze telewizji, a nie dziennikarze; hotel służy przecież do tego, aby przynosił dochód i dawał utrzymanie (niezłe).

Czekanie na przyjazd „Gardzienic" skracam sobie czytaniem miejscowych prospektów turystycznych i przewodnika po festiwalu. Od razu zwracam uwagę, że bilet na przedstawienie „Awwakuma" kosztuje osiem funtów, podczas gdy przeciętnie płaci się od półtora do czterech funtów. A więc to prawda że „Gradzienice" są w cenie, także dosłownie.

Warto wiedzieć, że nasz tear gości na festiwalu w Brighton niejako przy okazji, w każdym razie „Gardzienice" nie przyjechały do Wielkiej Brytanii tylko po to, aby w tym nadmorskim kurorcie pokazać „Awwakuma" (o brytyjsko - irlandzkim pobycie naszego teatru sponsorowanym przez Centre for Performance Research, pisałem w 25. numerze „Relacji"). Warto też dodać, że strona brytyjska pokrywa w całości koszty przeszło dwumiesięcznego pobytu „Gardzienic" w Wielkiej Brytanii i Irlandii, a agencja „Pagart" otrzymuje jeszcze (w prawdziwej walucie) odpowiednią prowizję. Na takich zasadach odbywają się zresztą wszystkie zagraniczne wojaże naszego teatru. Wspominam o tym tylko po to, aby raz jeszcze podkreślić — że jest prawdziwym skandalem, iż ten wybitny (i dochodowy) teatr nie ma w Gardzienicach odpowiednich warunków do pracy.

8—10 maja.

Przedstawienia „Awwakuma" odbywały się w starym, wybudowanym z kamienia kościele św. Marcina. Byłem na wszystkich trzech spektaklach, albowiem chciałem zaobserwować reakcje widzów na słowa, których nie rozumieli. Była to reakcja niezwykła nawet dla kogoś, kto jest oswojony z awangardą teatralną. Publiczność włączała się w działania sceniczne ochoczo, bez ociągania się i przymusu, jakby świadoma, że ten teatr nie może istnieć bez współuczestnictwa widowni. Także po przedstawieniach działy się rzeczy w Anglii niezwyczajne: widzowie długo stali grupkami pod kościołem i rozmawiali o teatrze. Podsłuchiwałem te rozmowy. Była w nich mowa przede wszystkim o egzotyce, wschodzie i polskiej religijności, którą nazywano często „tradycyjną". Życie polskie kojarzy się więc tutaj z jakimś archaicznym, słowiańskim mistycyzmem, w którym religia odgrywa niepoślednią rolę.

Czy jest to powszechne wyobrażenie o naszym kraju, czy też niejasne i mgliste odczucia zostały spotęgowane przez nasz teatr?

Postanowiłem porozmawiać o tym z Gavinem Hendersonem, dyrektorem artystycznym festiwalu w Brighton.

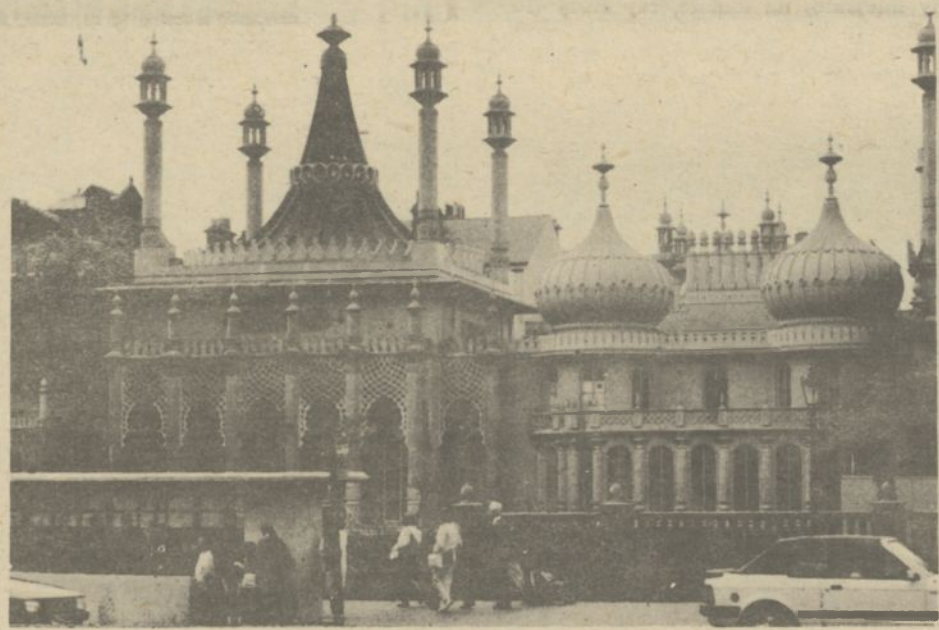

Pawilon Królewski w Brighton.

Fot. Stanisław Kral

Otóż potwierdził on, że „Żywot protopopa Awwakuma" traktowany jest powszechnie jako przedstawienie o problemach europejskiego wschodu. Ale dla brytyjskiego widza zetknięcie się z takim teatrem jak „Gardzienice" niesie ponadto wiele dodatkowych aspektów. Środki scenicznego oddziaływania naszego teatru są bowiem krańcowo odmienne od tego, do czego przywykli widzowie tradycyjnej, klasycznej sceny brytyjskiej. Toteż choć nie wszyscy widzowie wiedzieli jak rozumieć „Awwakuma" (mimo wprowadzenia, które wygłosił Włodzimierz Staniewski), to — powiedział Mr Henderson — „prawie wszyscy mieli świadomość, że uczestniczą w czymś niezwykłym. Zrozumienie zaś tej sztuki, pełne odczytanie jej filozoficznego i egzystencjalnego przeprzesłania przyjdzie po jakimś czasie, ponieważ jest to spektakl, który pozostawia w duszy niezatarty ślad".

Bardziej precyzyjnie odpowiedział na moje pytanie Richard Gough, dyrektor artystyczny Centre for Performance Research, o którym recenzent teatralny dziennika „The Guardian" tak napisał 18 kwietnia br.: „Richard Gough i Centrum Badań Teatralnych potrzebowali dziesięciu lat, aby zorganizować pierwszą wizytę tego oddalonego zespołu w Wielkiej Brytanii". Zapytany, czy nieznajomość języka polskiego nie wyklucza zrozumienia „Awwakuma", odrzekł: „Muzyka tego przedstawienia, ruch, naturalna symbioza gestu, słowa i ciała aktora to niesamowite uderzenie dla widza, którego gust artystyczny ukształtowany został przez brytyjski teatr klasyczny. W teatrze tym bowiem słowo aktora jest odseparowane od muzyki i śpiewu; jest to teatr statyczny i nobliwy, gdzie aktor bardziej deklamuje niż przedstawia". Dlatego najważniejszy sens brytyjsko-irlandzkiego pobytu „Gardzienic" upatruje Richard Gough w tym, że nasz teatr pokaże nowe możliwości, że zademonstruje nowy styl pracy na scenie i odświeży tutejsze myślenie o teatrze. A zatem z pobytem „Gardzienic" związane są bardzo praktyczne oczekiwania. Chodziłoby bowiem o to przede wszystkim, aby zapatrzony w siebie i tracący powoli uznanie widzów tradycyjny teatr brytyjski wziął ze świata coś nowego i wartościowego. „Dla naszego teatru będzie to długo proces edukacyjny — mówi Mr Gough na zakończenie naszej rozmowy — ale miejmy nadzieję, że »Gardzienice« okażą się dobrym nauczycielem".

Że nie był to tylko komplement, dowodzą dziesięcioletnie starania Brytyjczyków, aby sprowadzić nasz teatr na Wyspy i gruntownie go poznać. Tutejsze tournée „Gardzienic" zaczęło się 14 kwietnia w College of Arts w Dartington, gdzie zorganizowano angielsko-polską konferencję poświęconą teatralnym praktykom naszego zespołu. Przebiegała ona pod hasłem „Teatr, natura, kultura", a jej celem było nie tylko zademonstrowanie przez „Gardzienice" swoich metod pracy, ale także sformułowanie ogólniejszych spostrzeżeń na temat powstawania i funkcjonowania sztuki w nowych, pozamiejskich środowiskach, gdzie rozumienie kultury pozostaje jeszcze w ścisłym związku z wartościami Ziemi i Nieba. Chodzi więc tu o te nieliczne już miejsca i społeczności (a najlepiej byłoby powiedzieć: homogeniczne enklawy kulturowe), w których człowiek komunikuje się z naturą i gdzie symbol jest nie tylko figurą stylistyczną, ale wyrazem codziennej metafizyki życia.

A zatem oczekiwania Brytyjczyków, że nowe wartości artystyczne i filozoficzne przywędrują na ich Wyspy z naszej części Europy, nie są pozbawione racji. Najpierw bowiem, jeżeli chodzi o czołówkę światowej awangardy teatralnej, wymienia się tutaj cztery polskie zespoły: Grotowskiego, Kantora, Szajnę i nasze lubelskie Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice". Zaś kwestię: dlaczego w tej mierze przodują Polacy, wyjaśnił lapidarnie Donald Hutera w „Glasgow Herald". „Metody pracy zespołu — pisze ów krytyk — odkrywają coś na temat stanu polskiej sztuki. Otóż nie ma tam miejsca na rzeczy trywialne, ponieważ sytuacja w tym kraju nie sprzyja powstawaniu rzeczy byle jakich. Wydaje się w Polsce konieczne, aby artysta zajmował się na nowo przeszłością swojego kraju i aby zarazem szedł twórczo ku przyszłości. »Gardzienice« sytuują się w awangardzie takich wysiłków".

Oczywiście należy brać w tym miejscu poprawkę na to, że autor powyższych słów obcował zapewne z najlepszymi dziełami naszej sztuki i literatury. Ale dużo prawdy jest w tym na pewno, skoro tutaj, w kraju, narzekamy od wielu lat, że najmocniejszą stroną naszej twórczości jest publicystyczne zaangażowanie w naprawę polskiej rzeczywistości. A więc to, co dla nas bywa już banałem, dla ludzi Zachodu może być czymś oryginalnym i na gruncie artystycznym odkrywczym. Potwierdzają się w ten sposób słowa Gombrowicza, że nasza polska, zaściankowa i słowiańska „niższość" i „młodszość" nie powinna napawać nas wstydem. Przeciwnie: powinniśmy uczynić z niej odskocznię do zajęcia równego miejsca wśród europejskiej społeczności. W każdym razie sympozjum w Dartington potwierdziło, że ta filozofia sztuki, która sformułował w praktyce artystycznej teatr „Gardzienice" jest na Zachodzie atrakcyjna i poszukiwana.

(cdn.)

Ostatnie franki w kieszeni

FIZYK W GANDAWIE

Tomasz Goworek

CAŁEGO miasta nie da się obejrzeć. Miałem na Gandawę chyba więcej czasu niż przeciętny turysta zaliczający wiele miejscowości: jedną całą sobotę, sporą część niedzieli, dwa przedpołudnia, kilka wieczorów, cztery godziny z żywym przewodnikiem; kilka drukowanych folderów. Co się ogląda w Gandawie? Ołtarz Baranka Mistycznego Van Eycków. No i właśnie — nie obejrzałem. Poszedłem do katedry od razu po przyjeździe, za późno, bo właśnie zamykano za kilka minut. Potem mi się ciągle zdawało, że przecież jeszcze jest czas, że wpierw obejrzę to, czego nie znam nawet z reprodukcji i zdjęć. I w końcu przegapiłem pory otwarcia, zawaliłem sprawę.

W ogóle chyba niewiele widziałem. Dziś zauważam, że kręciłem się w kółko po samym centrum. Biegałem po Hoogpoorcie i przyległych uliczkach, zaliczając wszystkie „Sierpy", czyli domy rodu Van der Sickelen. Płosząc po śmietnikach koty, można przez zaułek za katedrą dotrzeć do „Tylnego Sierpa" (Achtersikkel). Właściciel, bywały we Włoszech, kazał sobie pobudować dziedzińczyk z arkadami, podcieniami, z klombem pośrodku (od zewnątrz dom pozostawał klasyczną kamienicą z miast Północy). Miał właściciel wiele statków, więc kazał też wybudować wieżę tak wysoką, aby ze szczytu móc widzieć jak ładuje się towar zarówno na nabrzeżach Skaldy, jak i Lele; wieża wznosi się jak komin fabryczny, nie pasując do reszty. Ród był bogaty, na tych sierpach wzbogacony, mieli panowie swojego księdza i kaplicę zamkową, miał i on. Kaplica, wysunięta jak wykusz, mieściła nie więcej niż cztery osoby, ale była. W domu, własna. Siedziba o dziwnych proporcjach: ściśnięta w planie, a wyciągnięta w górę, należy dziś do konserwatorium.

Z pobliskiej plebanii wyszedł ksiądz, w garniturze i koloratce, drucianych pozłacanych okularach, uśmiechnął się szeroko, wyciągnął rękę — uścisnąłem. Przeszedł truchtem ulicę, jeszcze się odwrócił i uniósł rękę do góry na pożegnanie. Czy tak wita każdego przechodnia, czy mnie z kimś pomylił?

Na narożniku Hoogpoortu Dwór św. Jerzego — siedziba bractwa kuszników. Dziś mieści hotel i restaurację z cenami, że na ich widok można paść (jak rażony z kuszy). Naprzeciw ratusz, zaplanowany jako ogromny czworobok wypełniający cały kwartał ulic. Po wybudowaniu jednego gotyckiego skrzydła kasa miejska schudła i roboty przerwano na długo. Dalszy ciąg jest już renesansowy. Wnętrza w remoncie, Sali Pacyfikacji nie da się obejrzeć.

Pobiegałem po historycznych nabrzeżach Graslei, Korenlei, Kraanlei, zaliczając domy cechowe: tu Gildia Wolnych Szyprów, tam Dom Żurawich Dzieci, czyli tych robotników, którzy drepcąc wewnątrz wielkiego koła, napędzali żurawie portowe (podobno nie były to dzieci, choć — licho wie — w tamtych czasach?). Na Korenlei wyróżnia się dom najemnych szyprów, jest biało-żółty, tynkowany, to unikalne w tej okolicy, pochodzi zresztą mniej więcej z czasów cesarzowej Marii Teresy, kiedy Flandria należała do Austrii. Historia jest tu bardzo zawiła, boć to była ongiś i Francja, i Hiszpania, i Austria. Gdzie Rzym, gdzie Krym, ofiarowywanie komuś Niderlandów nie jest więc chyba tak rozśmieszające, jak nas tego nauczyła Trylogia.

DOPIERO w ostatnim dniu zacząłem zataczać większe kółka po mieście i trafiłem na Targ Piątkowy (Vrijdagmarkt) z potężnym kościołem św. Jakuba i Toreken. Na tym placu miasta Flandrii oddały się w opiekę królowi angielskiemu Edwardowi III. Jak się robi majątek na przędzeniu angielskiej wełny, a od strony zacofanej Francji można się spodziewać co najwyżej nałożenia podatków, to wybór jest prosty.

Targ Piątkowy jest prawdziwym targiem, ze straganami o płóciennych daszkach. Stoją też na placu targowym potężne samochody z naczepami turystycznymi. Cały bok naczepy się opuszcza i powstaje szeroka witryna. Z tych wielkich przyczep sprzedaje się sery. Mnogość gatunków. Żeby kupić, trzeba by się znać, a o pomyłkę łatwo. Rzuca się w oczy w ciemnobrązowej polewie, z wielobarwną etykietką — ser Loo. Etykietka zapewnia, że „Echte Loo!" — prawdziwy. A po naszemu to zwyczajny ser trapistów.

Sery degustowaliśmy na bankiecie. Była samoobsługa; gdy przyszła pora na deser, przechodziliśmy przed zastawionymi stołami, nabierając ciasta, owoce i ser. Siedziałem naprzeciw Gastona i żeby nie wydać się barbarzyńcą, dziobałem ciasto z ryżu, zostawiając te sery na potem. Gaston zerknął, zauważył i szepnął:

— Jedz najpierw ser...

— Dlaczego? Przecież u was sery je się na końcu?

— Tak, ale sery prawdziwe. Te to są sery „turystyczne"...

Gaston, znany smakosz, ma do etykiety kulinarnej stosunek praktyczny. Na stole było wino białe i czerwone. Sąsiedzi chwycili za białe, Gaston nalał sobie i mnie czerwonego.

— Czyż nie zaczyna się od białego?

— Od białego, oczywiście, od białego. Ale to czerwone jest dużo lepszego gatunku, to Chateauneuf du Pape!

Dłuższe spacery zaniosły mnie i do Rabotu. Jest to coś w rodzaju bramy miejskiej na kanale, czy śluzy (tu komunikacja była głównie wodna). Dziś Rabot stoi na tle wieżowców nowego osiedla, bloków płaskich jak decha. Nawet to nie razi, dużo bardziej szpecą drobne dodatki współczesne okalające Rabot: znaki drogowe, słupy, barierki, tablice. Wieżowce stanowią monotonne jednolite tło, natomiast pstrokacizna tych drobiazgów zasłania i mąci widok samego zabytku.

Wracam wzdłuż kanału, mijając klasztor Augustianów. Miasta są tu zawsze udekorowane bogato flagami. Nawet w tej, dość zaniedbanej dzielnicy wznoszą się maszty i powiewają kolorowe płótna. Na jednym z masztów wieniec złotych gwiazd na niebieskim polu — flaga zjednoczonej Europy. Oni tu sobie pomalutku zapominają o konfliktach narodowościowych, a my na odwyrtkę: Bułgarzy nawracają Turków, Rumuni wymazują Siedmiogród nie tylko z mapy, ale i krajobrazu, Serbowie koso patrzą na albańskie Kosowo, Ormianie nie chcą znać Azerbejdżan, NRD upodobała sobie nasz tor wodny. Co się porobiło...

JESZCZE mam do obfotografowania patrycjuszowski zamek Gerarda Diabła. Zamek mieszczanina. Trudno się tu połapać, kto mieszczaninem, kto szlachcicem. Artevelde, przywódca ludu, jadał na srebrze przy muzyce, jeździł konno z pocztem niosącym proporce z jego herbem. Mieszczanie mieli herby: Artevelde — trzy kapelusze, van der Sickelenowie — trzy sierpy. A van Gruythuuse — arystokrata, za to nazwisko strasznie plebejskie, po naszemu byłby to „pan Krupa". No to jak to, król René opisywał, jako pan Krupa potykał się z panem Drożdżem i to miał być wzorzec turniejów? Niewiele rozumiem, trzeba pójść na konsultację do prof. Pronowicza.

Część zamku diabelskiego jest autentyczna, część zrekonstruowana ze sto lat temu. Szukając bezskutecznie dobrego ujęcia części autentycznej, przesuwam się wzdłuż Reepu. Stąd już niedaleko, za wracającą zakolem Lele, leży opactwo św. Bawona, założone jeszcze w VII wieku, ale to, co widać dziś: sala kapituły, lavabo, sa z wieku XII.

Za opactwem rozciąga się przedmieście Amandsberg. Na konwent tam położony (a klasztorów w Gandawie więcej niż dziewięć) spadł w roku 1915 pierwszy zestrzelony Zeppelin. Tak naprawdę to nie był zestrzelony, a trafiony bombami zrzuconymi z samolotu przez por. Warneforda. Z 28-osobowej załogi statku powietrznego przeżył upadek tylko jeden człowiek: wypadłszy z wraku, przebił sobą dach konwentu i wylądował na pustym akurat łóżku. Były to czasy, gdy właśnie na niebie Flandrii toczyły się najzaciętsze pojedynki powietrzne, dorównujące średniowiecznym zmaganiom rycerzy. Po sześciuset latach znów wyzywano się na pojedynki, a nowoczesne rumaki z drewna, płótna i drutu, przyozdabiano godłem i dumnymi barwami.

Jadąc gdzieś, mam zwykle program turystyczny obfity, ale gdy przychodzi do realizacji, to skracam, skracam... Zrezygnowałem z Brukseli (kiedyś przecież trzeba bywać na obradach!) choć miałem na nią wielką ochotę. I to na co, nie na ratusze, pałace, a na cerkiew prawosławną w Ukkel, na przedmieściach stolicy. Słuchałem kiedyś wspaniałej płyty z nagranym chórem cerkiewnym stamtąd. Kto nie słyszał, nie wie, co to bas cerkiewny. Chór śpiewał po rosyjsku, ale realia były belgijskie:

„Hoos-po-di so-chro-ni ko-ro-la
naszego Boduena
Iiii su-pru-gu je-wo wła-dy-czy-cu
naszu Fabioooooołu..."

Królowa Fabiola, u nas postać raczej z „Panoramy" i „Kulis", trafiła do bożestwiennoj liturgii.

A więc w Ukkel nie byłem. Gandawa i Brugia — to wszystko. No i konferencja. Za trzy lata spotykamy się w Budapeszcie.

NAPRZECIW zamkowej bramy jest mała piwiarenka. Pustawo. Dwoje ludzi siedzi, obejmując się, na wysokich stołkach. Siadam i ja na trzecim. Młody człowiek coś zagaduje do mnie. „Och, przepraszam nie znam flamandzkiego". Na to wyznanie wstaje i przechodzi na drugą stronę kontuaru — on tu jest personelem. „Can I help you?".

Zamawiam „Briganta", ustawiam szklankę na stoliku przy oknie i fotografuję. Za tło służy plac, który był kiedyś miejscem straceń: tu ćwiartowano, tu płonęły stosy. Dziś parking, gromady turystów. Za moimi plecami, kawałek stąd, za wzgórzem Blandijnberg, płynie Skalda. Po Skaldzie łabędź ciągnął łódź Lohengrina, nad Skaldą zasiadał pod dębem siwobrody król Henryk.

— Gdy będziesz w Gandawie, nakarm moje łabędzie — powiedziała Hanka. Skalda płynie trzysta metrów od jej instytutu i od sadzawki z łabędziami. Jeżeli nie dla Hanki, zrób to, Parsifalu, dla swego druha Lohengrina: trochę czerstwej bułki, dożywisz symbol tysiącletniej legendy. Pamiętasz oleodruk, łabędzia, co ciągnie łódź? Nie wiedziałeś wtedy, że to Skalda. Teraz masz Skaldę opodal, łabędzie na stawie. Nie nakarmiłem. Zapomniałem czy też nie chciałem żywić legendy? Przepadło.

Piję piwo u wót Gravensteenu i myślę sobie: a dlaczego mi imponuje ten zamek? Toż w Krakowie kościół św. Andrzeja przy Grodzkiej jest o sto lat starszy. Wiem, to budynek świecki, a tamto kościół, ale tu nic tak starego nie ma! A i stołb Wieży Srebrnych Dzwonów na Wawelu, a krypta św. Leonarda — też starsze niż krypta w katedrze gandawskiej i niż refektarz u św. Bawona. Gandawskie gildie i kamieniczki to zawsze tysiąc czterysta-ileśtam, a ile w Krakowie kamieniczek starszych? Uczta Orderu Złotego Runa? W sto lat po Wierzynku!

Sami nie wiecie, co posiadacie, wycieczki suną sznurem przez Grodzką, a czy ktoś dostrzega kościół św. Andrzeja, zwykłą pańską hojnością wystawiony przez Sieciecha? Zresztą nie tylko Kraków, a te wszystkie Inowłodze, Tumy Łęczyckie, Skalbmierze, Wąchocki. I nikomu się Wąchock nie kojarzy z dziedzictwem historii, tylko z dowcipami o sołtysie.

Dopijam powoli, robię jeszcze dwie klatki, zbieram się do wyjścia.

— Niech pan jeszcze nie idzie — mówi chłopak zza baru.

Zostałbym. Ale ostatnie franki w kieszeni, samolot „zabukowany" na jutro rano. Słońce zachodzi za zamkiem, Gravensteen jest znów czarną zębatą sylwetką jak z podręcznika geografii. Żegnaj, Gandawo.

Część zamku diabelskiego jest autentyczna, część zrekonstruowana sto lat temu. Fot: Autor

NIE WOLNO STRACIĆ TEJ SZANSY

Dokończenie ze str. 1

— Ja szalenie mocno odczuwałem naszą klęskę w 1944 roku. Najpierw zostaliśmy opuszczeni przez sojuszników, a potem, kiedy mieliśmy już świadomość, że mogą zrobić z nami wszystko, rzeczywiście robili co chcieli: wyroki śmierci, więzienia, wywózki w głąb ZSRR, a ten, kogo pozostawili na wolności, bo nie wiedzieli, że był w AK, musiał ukrywać swoją przeszłość. A na plakatach — pan zna ten rysunek? — z każdej ulicy patrzył na przechodniów „zapluty karzeł reakcji".

— Jak pan się czuł? Chyba trudno było wtedy myśleć, że można samodzielnie zadecydować o własnym życiu?

— Byłem załamany. A w niewoli niemieckiej, w obozie w Skierniewicach, gdzie zetknąłem się z żołnierzami od Berlinga i z jeńcami radzieckimi, to uczucie jeszcze się powiększyło, gdyż dowiedziałem się, jak wygląda w codziennej praktyce ten rzekomo najlepszy na świecie ustrój. Nasi opowiadali o syberyjskich łagrach i głodzie. W Rosjanach natomiast, w miarę przybliżania się frontu i Armii Czerwonej, narastał paniczny strach przed swoimi.

— Strach przed oswobodzicielami?

— Strach przed śmiercią. Stalin rozkazał, że każdy żołnierz, który podda się Niemcom, zostanie za karę rozstrzelany. Oni więc wiedzieli, co ich czeka.

— To było zapewne zasadniczym powodem (oprócz tego, że Niemcy niezwykle okrutnie mordowali jeńców radzieckich), że u boku hitlerowców walczyła, jako sprzymierzeniec, przeszło półmilionowa armia gen. Własowa, składająca się głównie z Rosjan. Ale zatrzymajmy się jeszcze przy tamtym okresie lat 1944-45. Otóż wydaje mi się, że przetrwanie w oporze i uporze, aby nie wyrzec się swoich wartości, aby nie poddać się stalinowskiemu totalitaryzmowi, ułatwiało to, że społeczeństwo, a wasze pokolenie szczególnie, było zjednoczone wobec wspólnego etosu, etosu niepodległości, wolności i odpowiedzialności za Polskę. Czy mam rację?

— Tak, jednym z warunków naszego przetrwania i — powiedzmy — przeniesienia w lepszy czas idei niepodległości była bardzo silna wspólnota pokoleniowa. Dzięki niej każdy z nas na co dzień utwierdzał się w swoich przekonaniach, wzmacniał te przekonania, a takie zachowanie oznaczało powszechny opór przeciwko narzuconym formułom myślenia i życia. Ten nurt jedności pokoleniowej odczuwałem szczególnie mocno podczas studiów w Poznaniu. Trzeba przy tym pamiętać, że tam było inaczej niż tutaj, po tej stronie Wisły. Tutaj był fizyczny, zbrojny opór, ponieważ z tych ziem wywożono na wschód najwięcej i tutaj zapadały najliczniejsze wyroki śmierci. A więc tutaj, w Lubelskiem, Kieleckiem i na Białostocczyźnie walczono po prostu o przetrwanie. Poznańskie miało inną tradycję i inną sytuację, tam nie czuło się tak bezpośredniego zagrożenia, toteż od razu zaczęliśmy się zastanawiać, co możemy zrobić, aby w kraju było lepiej. Pomagało nam w tym, mocno osadzone w środowisku akademickim i rozumiejące to środowisko, duszpasterstwo ojców Dominikanów. Nie byliśmy więc sami, a to także dużo znaczy w takich ciemnych i trudnych czasach jak tamte lata.

— Czy były takie momenty, kiedy w tym ciemnym tunelu majaczyło dalekie światełko?

— Wtedy, w 1945 roku, mimo naszych zasadniczych wątpliwości co do istoty systemu stalinowskiego, nic jeszcze nie było do końca przesądzone. A w każdym razie tak myśleliśmy. Stąd nasze, powiedzmy: pozytywistyczne podejście, nasze dyskusje, nauka, do której przywiązywaliśmy dużą wagę, ponieważ uważaliśmy, że ma to znaczenie dla kraju. W ogóle miało znaczenie, że możemy studiować w — było nie było — polskim uniwersytecie. I chociaż w naszym pokoleniu bardzo silne było przeświadczenie, że prawdziwa Polska to nie jest ani tzw. „Polska ludowa", ani późniejsza „PRL", to — na przykład — z entuzjazmem witaliśmy powrót do kraju Mikołajczyka i jego dążenie do odbudowy demokratycznego życia politycznego.

— Złudzenia prysły zatem później, w miarę postępów tzw. „budownictwa socjalistycznego"?

— Złudzenia?... Raczej kładłbym nacisk na to, że mimo wszystkich przeciwności zachowaliśmy w sobie, w stanie nienaruszonym, niezależność wewnętrzną, nie poddaliśmy się totalitaryzmowi. A po roku 1950, kiedy zostałem przyjęty do pracy w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, tę wewnętrzną niezależność było mi chronić też stosunkowo łatwo, gdyż miałem oparcie w środowisku, które myślało podobnie jak ja.

— Dla mojego pokolenia jest to zaskakujące, że nie zostaliście przez wojnę i stalinizm przetrąceni moralnie. Jest to chyba fenomen, którego źródeł szukać należy głębiej, w naszej tradycji, historii, kulturze.... Myślę głośno, ale takie nasuwa się przypuszczenie, gdy porównuje się Polskę z innymi krajami bloku socjalistycznego.

— Oczywiście! Byłoby przecież jakimś dziwolągiem, gdyby tylko moje pokolenie było takie niezłomne, twarde, ja wiem jakie jeszcze?... Pyta pan o wojnę, więc trzeba jasno powiedzieć, że wojna wywarła pozytywny wpływ na nasze charaktery. Wyzwoliła ogromną solidarność, zdemokratyzowała nasze społeczeństwo, które przed rokiem 1939 było mocno podzielone i dosyć sztywno uhierarchizowane. Wojna zatem, która miała nas zepchnąć w dół, zniszczyć nasze ludzkie widzenie świata, umocniła nas i wyszliśmy z niej solidarni i z godnością. To nas chroniło przez następne lata.

— Wojna cementuje charaktery, sprawdza je — to jest dosyć oczywiste, ale w żadnym wypadku nie jest to cena, którą warto płacić.

— Na pewno! Nikomu nie życzę takich przeżyć. Myślę jednak, że po roku 1944 łatwiej nam było przetrwać, nie ugiąć się, dlatego, że wcześniej przeszliśmy o wiele trudniejsze lata. Przejście przez totalitaryzm hitlerowski dało nam umiejętność przetrwania totalitaryzmu stalinowskiego, który — przy wszystkich podobieństwach — funkcjonował inaczej, wyglądał mniej złowieszczo. Kiedyś, w dłuższej perspektywie historycznej, ta prawda będzie bardziej oczywista.

— A gdyby stalinizm trwał dłużej?

— Właśnie... dlatego uważam, że nie powinniśmy osądzać innych narodów, a zwłaszcza tych, które zostały poddane o wiele trudniejszej próbie niż my. Na przykład Rosjanie zazdroszczą nam tej niespożytej energii w oporze, w trwaniu przy swoich wartościach. Oni sami — jak mi się wydaje — są moralnie bardziej od nas skażeni.

— Czy ma pan, panie profesorze, na ten temat jakąś hipotezę?

— Niech pan wyobrazi sobie mapę naszej części Europy. Jest tak: Litwini, Łotysze, Estończycy bronią się przed totalitaryzmem podobnie skutecznie jak my. Także Ukraińcy, ale to dotyczy Ukrainy Zadnieprzańskiej, bo na Ukrainie prawobrzeżnej sytuacja przedstawia się inaczej. Mamy więc ziemie i narody, które wchodziły niegdyś w skład Rzeczypospolitej.

— Myśli pan o polskim charakterze narodowym i jego wpływie na sąsiadów?

— Źródeł tej energii duchowej należy poszukiwać w naszej kulturze. Chciałbym uniknąć dłuższego wykładu, więc powiem w koniecznym skrócie, kulturę traktując w sensie antropologicznym. Otóż w Polsce nigdy nie było absolutyzmu państwowo-wyznaniowego, a przeciwnie: wolność wyznania i duży indywidualizm. Państwo nie starało się dominować nad obywatelem, czy narzucać ludziom swojej woli. Rezultatem tych procesów była, z jednej strony, słabość polityczna państwa polskiego, ale z drugiej strony to, że kultura polska była akceptowana jak najbardziej dobrowolnie. Dlatego nasza kultura jako system wartości ma bardzo szeroką bazę społeczną, a Polacy — w chwilach zagrożenia — stają się tak bardzo bliscy sobie, czyli solidarni, co na tle innych narodów — zwracają na to uwagę cudzoziemcy — jest wyjątkiem. Okres rozbiorów naszą kulturę bardzo umocnił, ponieważ sytuacja na ziemiach Rzeczypospolitej była taka, że społeczeństwo znalazło się pod panowaniem trzech absolutyzmów. Toteż każda walka polityczna jest w Polsce jednocześnie walką o nasz system wartości moralnych. Sprawia to, że żaden totalitaryzm, żaden absolutyzm dotąd nas nie pokonał, ponieważ — podkreślam — odrzucamy totalitaryzm z samej najgłębszej istoty naszej kultury.

Oczywiście trzeba się wystrzegać idealizowania, bo — na przykład — nasz polski indywidualizm często przeszkadza w osiągnięciu zgody politycznej. Ale jednocześnie każdy totalitaryzm, który do nas przyjdzie i zechce nas naprawdę, całkowicie pokonać, musiałby każdego z nas zabić.

— Albo — przekonać?

— Ale nie przekona, ponieważ my cenimy te wartości, które totalitaryzm pragnie unicestwić.

— A więc przetrwaliśmy. Jednak — co dalej? Wydaje się, że tworzenie nowego ładu społecznego przychodzi nam z wielkim trudem.

— Proszę pana, przecież prawie wszystko trzeba stworzyć od nowa. Spustoszenia w sferze gospodarki i życia społecznego są ogromne. Ale zauważmy, że na przykład Polacy na Zachodzie dają sobie znakomicie radę. Znaczy to, że jesteśmy zdolni i przedsiębiorczy, należy tylko stworzyć w kraju takie warunki, aby opłacało się pracować tutaj, i pieniądze zarobione na Zachodzie u nas zainwestować. A stworzenie takich warunków jest przecież inwestycją, która nic nie kosztuje. Wystarczy, że państwo nie będzie przeszkadzać, a ludzie sami wykażą inicjatywę, gdyż każdy chce zarobić i żyć lepiej.

— Powiedział pan, że prawie wszystko trzeba stworzyć od nowa. Czy to znaczy, że jest aż tak źle?

— Ta prawda jeszcze nie do wszystkich dotarła, ale to jest ostatnia chwila, kiedy możemy — bez wielkich zaburzeń — rozpocząć zasadniczą zmianę systemu. A tworzyć musimy rzeczywiście wszystko: nowe firmy, banki, handel, spółdzielnie.

— A co z zakładami państwowymi?

— Przecież sektor państwowy we Włoszech funkcjonuje znakomicie! Myślę, że i u nas działałby o wiele lepiej, gdyby nie był monopolistą. A zatem kolejna rzecz, to rozbicie monopoli.

— Monopole nie sprawdziły się nigdzie — ani w gospodarce, ani w polityce.

— Dlatego podstawowym celem ruchu obywatelskiego powinno być pobudzanie każdej inicjatywy społecznej i gospodarczej, pomaganie ludziom, którzy mają dobre pomysły i chcą je realizować.

— Życzę panu, panie profesorze oraz Komitetowi Obywatelskiemu Lubelszczyzny powodzenia w tym trudnym, ale jakże potrzebnym dziele. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Andrzej W. Pawluczuk

LISTY

„UCIECZKA ZE SKROBOWA"

Zainteresowanych problemem obozu w Skrobowie („Ucieczka ze Skrobowa", „Relacje" nr 16/89) zachęcam do przeczytania książki „Z konspiracji w Lubartowskiem" Franciszka Kusyka („Grota"), byłego komendanta Batalionów Chłopskich na powiat lubartowski, który pisze: Dywizja 27 AK po wejściu armii radzieckiej na tereny wschodniej Polski razem z nią walczyła od Równego prawie przez pół roku, przeciw Niemcom, biorąc udział w wyzwoleniu Lubelszczyzny, zakładając swój sztab w Kozłówce. Po wkroczeniu wojsk radzieckich wezwano do Lubartowa dowódcę dywizji AK pod pretekstem ustalenia dalszego współdziałania. 26 lipca, bez podania przyczyn, zostało przeprowadzone rozbrojenie 27 Dywizji AK w Skrobowie, w byłym obozie jeńców radzieckich i aresztowania. Stało się tak na wyraźne żądanie płka G. Korczyńskiego, który wraz z jednym z członków PPR, zażądał wydania tego rozkazu od dowódcy radzieckiego.

Tak zaczęły się pierwsze aresztowania żołnierzy AK i BCh, którzy walczyli z najeźdźcą niemieckim.

Tak też było na moim terenie. Królik Jan (Baca) od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej należał do ruchu oporu (BCh), ja też należałem do BCh, współpracowałem z nim. W akcji na gminę Jabłonna, gdzie wójtem był folksdojcz Muller, „Baca", jako dowódca pojechał go „uspokoić". W gminie było dwóch gestapowców. Niemiec strzelił pierwszy, ciężko ranił „Bacę". Ranny „Baca" zastrzelił jednego Niemca, drugiego — koledzy. Ale partyzanci zostali rozpoznani. Aresztowano ojca „Bacy", ojciec ginie na Zamku lubelskim. Brata „Bacy" — Bogdana, Niemcy też aresztowali i publicznie powiesili.

Ukrywając się, „Baca" przeżył okupację hitlerowską. Po wyzwoleniu Lubelszczyzny został aresztowany i był maltretowany przez „swoich", dzielił los, jak ci ze Skrobowa.

Przyczyna aresztowania to to, że był prawdziwym Polakiem i swe młode życie poświęcał Ojczyźnie — Polsce.

Józef Gospodarek
Jakubowice

W SPRAWIE BIERUTA

Jestem czytelnikiem „Relacji" od początku. Czytam wszystkie artykuły z dużym zainteresowaniem. Są one pisane fachową ręką i bezstronne. Jednak ostatnimi czasy w tej doskonałej maszynie zaczęło coś zgrzytać. Kilka artykułów jest po prostu „ściągniętych" z innych gazet. Czyżby wystąpił tu brak samodzielności? Ale nie to jest powodem mojego listu.

Poruszyła mnie wiadomość ze str. 2 z dn. 1 czerwca (nr 20). W rubryce „Relacje z regionu", pierwsze słowa brzmią: „Pomnik B. Bieruta zdjęty zostanie z cokołu (i prawdopodobnie wysłany do huty), zaś w tym miejscu znajdzie się herb Lublina".

Jeśli dobrze sobie przypominam jeden z panów redaktorów z „Kuriera Lubelskiego" zaproponował, żeby postawić w tym miejscu pomnik ofiar stalinizmu, co wydało mi się i moim znajomym bardzo mądre i godne uwagi. Ale osobiście mam inną koncepcję. Pragnąłbym, żeby wykonana została kopia postaci z brązu lub spiżu, wysokości ok. 1 m i ustawiona w Muzeum Ruchu Robotniczego przy ul. Sierocej. Mimo niechlubnej tradycji postaci B. Bieruta, człowiek ten jakiś tam wkład wniósł w naszą historię: i miasta, i państwa. I nie można dopuszczać się „wandalizmu historycznego" na jego postaci.

Dalej czytamy: „Plac nazwany imieniem Bieruta będzie Placem Zgody". (A ja się pytam: czyjej zgody? Morderców i ich ofiar, czy może kogoś innego z czasów obecnych?) „Natomiast ulica otrzyma miano ul. Lwowskiej — postanowiło Prezydium MRN w Lublinie podczas posiedzenia w dn. 23 maja".

Tego na pewno się nie dowiem kto imiennie wysunął bzdurną propozycję nazwania tej ulicy Lwowską, która — nawiasem mówiąc — nie jest nawet zgodna z kierunkiem geograficznym. Jeśli się dobrze orientuję, takie kryteria też się bierze pod uwagę. O innych kryteriach nie wspomnę. Podważam zatem decyzję MRN i uważam ją za pochopną.

Moim zdaniem należałoby nazwać ją po prostu Żydowska, gdyż w pobliżu mamy aż dwa cmentarze tego narodu, budynek byłej uczelni rabinackiej, który przed II wojną był, można powiedzieć, chlubą Lublina, gdyż była to jedyna uczelnia w Europie, a przypuszczam, że i na świecie. Był to, jak ja to nazywam, „żydowski KUL".

Nie jestem semitą ani antysemitą, ale jeśli mamy przebudowywać swoje sumienia i serca zgodnie z duchem odnowy, to i w tej sferze musimy być otwarci i rozsądni.

Waldemar Szewczyk
Lublin

TOWARZYSZE BRONI

WYGLĄDAJĄ inaczej, niż niegdyś. Czas zrobił swoje. Nie są to już „malowane dzieci". Mundury zamienili na cywilne marynarki, ale mimo to widać wyraźnie, iż nadal czują się związani z wojskiem. Na piersiach noszą medale i odznaczenia. Witając się, zwierają obcasy i lekko się prostują, być może nawet bezwiednie. A przede wszystkim — pamiętają.

Spotykają się z okazji pułkowego święta. W miejscu doskonale sobie znanym. Tu właśnie, w kraśnickim kościele parafialnym pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, żołnierze 24 Pułku Ułanów im. Hetmana St. Żółkiewskiego w każdą przedwojenną niedzielę uczestniczyli w mszy św. Zgodnie z hasłem wypisanym na pułkowym sztandarze: „Bóg — Honor — Ojczyzna". Tym razem sztandaru nie było. Choć przetrwał wojnę. Wraz z pułkiem przewędrował przez Francję, Belgię, Holandię i Niemcy, by wreszcie trafić do Anglii. Sztandaru nie było, ale hasło na nim wypisane jest dla nich nadal obowiązujące. Także teraz, po latach.

Spotykają się, by uczcić pamięć. Pamięć o tych, których nie ma już między nimi. Tych, którzy zginęli na polach bitew całego szlaku bojowego i tych, którzy odeszli później. Symbolem owej pamięci są wieńce złożone pod tablicą pamiątkową ku czci poległych. Symbolem jest także sama ich obecność. I nie tylko ich. Także ich rodzin, dzieci, wnuków. Dla młodych to lekcja historii. Nie tej podręcznikowej, lecz opowiadanej przez bezpośrednich uczestników wydarzeń. Tak przedstawiona historia głębiej zapada w pamięć.

Tegoroczne spotkanie miało charakter szczególny. Odbyło się w roku, w którym przypada 50. rocznica wybuchu II wojny światowej. Przed 50 laty 24 Pułk Ułanów stoczył 1 września pod Jordanowem swą pierwszą bitwę z Niemcami. Bitwę tę przypomni dwudniowy zlot.

Tekst: **Andrzej Z. Kowalczyk**
Zdjęcia: **Waldemar Stępień**

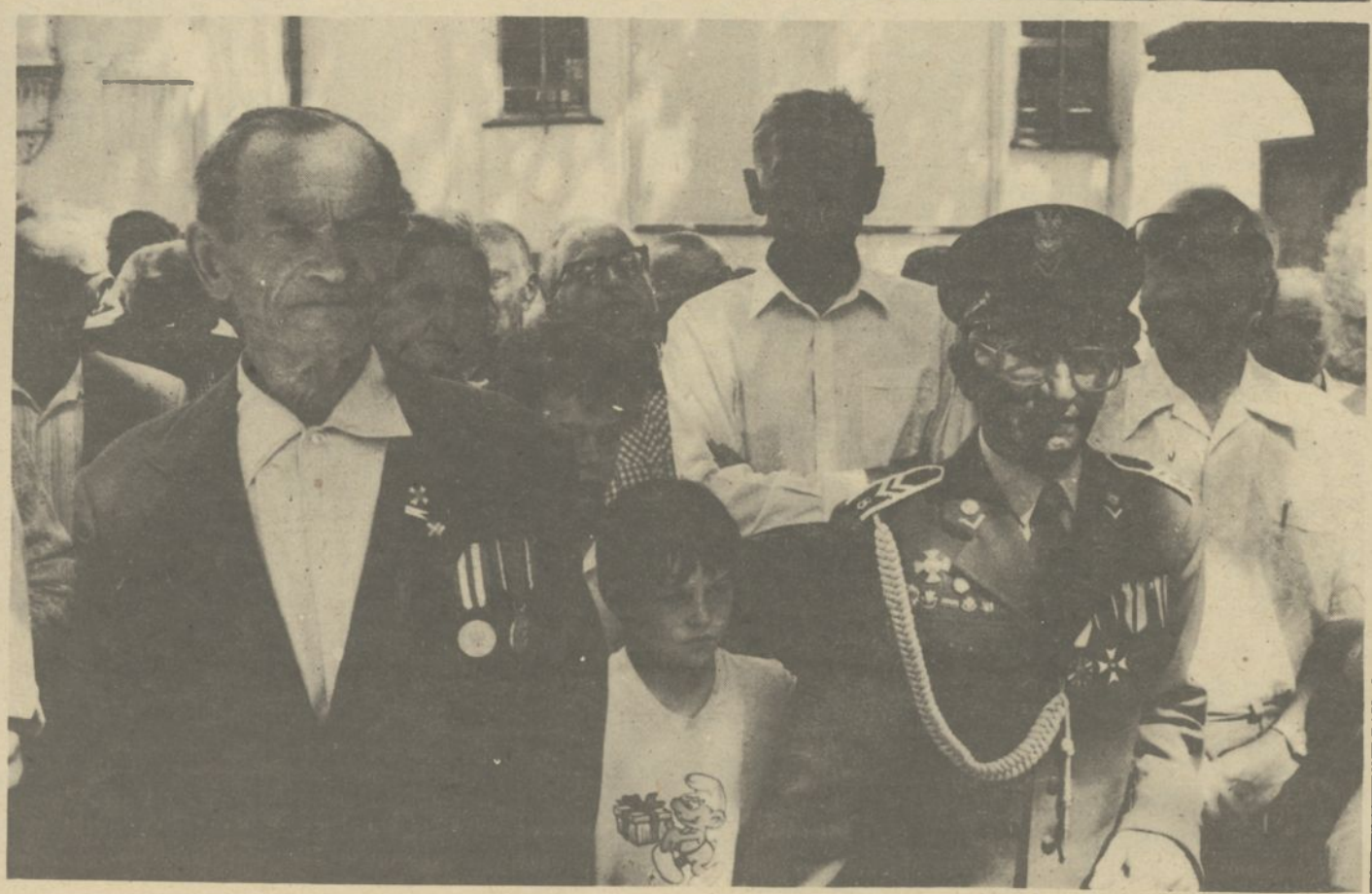

LISTY PIEŚŃ LEGIONÓW

Jako czytelnik Waszego tygodnika, w związku z 54. rocznicą śmierci (12.05. br.) Józefa Piłsudskiego — zdecydowałem się przekazać celem opublikowania tekst historycznej pieśni w rytmie „Mazurka Dąbrowskiego" (z 1914 roku, czyli sprzed 75 lat), której autorem był Bogusław Szul:

Jeszcze Polska nie zginęła
póki my żyjemy
co nam obca przemoc wzięła
szablą odbierzemy.

Marsz, marsz Piłsudski,
Prowadź na bój krwawy,
za twoim przewodem
wejdziem do Warszawy.

Tyś nas wezwał do oręża,
tyś zbudził rycerzy,
przekonałeś, że zwycięża
tylko ten, kto wierzy.

Marsz, marsz, Piłsudski itd.

Wstali strzelcy legioniści
na twe zawołanie.
Dziś zwycięstwo nam się ziści,
Polska zmartwychwstanie.

Marsz, marsz, Piłsudski itd.

Skruszym wnet moskiewskie pęta,
będziemy żyć w swobodzie,
naszą sprawą, sprawa święta
słuchaj nas narodzie.

Marsz, marsz, Piłsudski itd.

(Źródło: Miesięcznik — organizacji Teatrów Ludowych w Polsce, pod redakcją Jędrzeja Cierniaka — rocznik XXX, nr 11 z 1938 roku).

O ww. pieśni legionów cytowany miesięcznik pisał, że: „Zaczynała ona nowy wiek, nową historię i nową literaturę. Była to nośna pieśń legionów".

„Podawany z ust do ust »Mazurek Dąbrowskiego« stał się przedmiotem dalszego współtworzenia przy udziale całego narodu. Powstały nowe — poza tekstem Wybickiego — zwrotki, a nawet zupełne trawestacje (przeróbki) poetyckie „Pieśni legionów". Każdy z donioślejszych wypadków dziejowych był przyczyną powstania wariantów hymnu narodowego. Był więc „Mazurek Dąbrowskiego" w odmianie z roku 1831, z okresu 1863 i z lat 1914—18".

Autor, Bogusław Szul w tej pieśni legionów w 1914 r. prorokował, że „Polska zmartwychwstanie [...] skruszym wnet moskiewskie pęta, będziemy żyć w swobodzie", oraz cytuję z tej pieśni: „Za twoim przewodem wejdziem do Warszawy".

Właśnie te słowa stały się faktem, dopiero po przeszło czterech latach, a stało się to dopiero 11 listopada 1918 r. i ten z tej pieśni legionów — został współtwórcą Państwa Polskiego (po 123-letniej niewoli). Był też mężem stanu, politykiem, marszałkiem i sprawował rządy w II Rzeczypospolitej, przez okres niespełna piętnastu lat.

Te refleksje i wspomnienia przekazuję celem ocalenia od całkowitego zapomnienia.

Kazimierz Bułhak
Otmuchów

PS. W nagraniach płytowych i kasetowych, do pieśni legionowych z I wojny światowej mogłaby być z powodzeniem włączona do kompletu, ta właśnie, bo pochodzi z 1914 r. Jestem w posiadaniu oryginału tej pieśni, którą zdecydowałem się przekazać do wykorzystania do publikacji na łamach „Relacji".

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

DZIEŃ IV

Słońce! A więc jazda w deszczu miała sens. Na śniadanie Antoni przynosi w kieszeniach bułki.

— Skąd Antoni ma pieniądze?

— Mam.

Jest w wojskowej rogatywce, zza pazuchy wyciąga zdjęcie z wojska wytrawione na obrzeżach przez wilgoć. Ornamentyka typowa: sztandar, orzeł z koroną, ramię trzymające żagiew, na dole słuchawki radiotelegrafisty — służył w łączności. Marek zakłada nowy film i klatka po klatce fotografuje. Antoni z niewinnym wdziękiem pozuje lekko się uśmiechając, odwraca twarz niby niechcący. Jego delikatne pragnienie bycia chociaż na chwilę w centrum uwagi, połączone z nieśmiałością podlotka, przejmuje mnie. Zamykam oczy.

— Jak oni będą zazdrościć! — mówi Antoni.

— Kto?

— Oni! Wszyscy.

— Zadowolony Antoni, że ma gości?

— Ja? Tak jakby zmartwychwstał. Moje wrogi już się nie cieszą.

Gotowi do drogi idziemy zobaczyć „krówkę-kozę", klaczkę i psa. Mijani chłopi kłaniają się.

— „Dzień dobry panie Antoni" — przedrzeźnia ich. — Dzień dobry! A w środku ich skręca, że się kłaniają.

Wieś się kończy. Antoni zdejmuje grubą żerdź z kołka i wchodzimy na łąkę przedzieloną na pół olszynowo-brzozowym zagajnikiem, przy którym młodniak z „Brzeziny" Wajdy wygląda jak atrapa. Wysoka trawa, gdzieniegdzie pojedyncze olchy i brzozy. Siadamy na belku przy cembrowinie, nie opodal pasie się niewielka krowa i klacz. Szaleją wróble.

— Jak to miejsce się nazywa?

— Krynica, mówią też Liski.

— I to pana?

— Moje. Miałem jeszcze ornej ziemi dwanaście hektarów... Komuniści zabrali.

— Jak to: zabrali?

— Zabrali i już!

— Z czego pan żyje, panie Antoni?

— Mam krówkę, jest mleko, ser. Jak cielaczek podrośnie, to sprzedam.

— Nie ma pan rodziny?

— Nie. Tylko chrzestnego syna. Pomaga czasem.

— A gmina?

— Byli ze dwa razy, mieli dach pokryć. Poszedłem, a urzędnik powiada, że przyjdą, zrobią. Poszedłem jeszcze raz. Więcej nie pójdę. Raz powiedziane, powinni zrobić.

Idziemy oglądać ten dach. Przecinamy zagajnik, za którym otwiera się druga część łąki: jak opisać coś, o czym jest się przekonanym, że to piękno doskonałe. Miejsce promieniuje dziwną siłą. Dla niej uroda drzew, ich liści, traw i konfiguracji terenu są tylko składnikami wcale nie najważniejszymi.

— Tu zawsze Cyganie rozbijali obozowiska — informuje Antoni.

Połowa szopy ogacona jako tako deskami, przykryta kawałkami eternitu, papy, słomą. Stoją w niej nowe sanie, ława, kozetka, żelazny piecyk, wisi uprząż, sterta numerów „Rycerza Niepokalanej" na szafce. Święte obrazki chwieją się na przewiewnych deskach. W garnkach zsiadłe i świeże mleko. Sprzętu tyle, że do wewnątrz trzeba się wczołgiwać. Druga część szopy posiada coś w rodzaju umownych ścian okalających stertę gnoju, po strzępach w narożach widać, że był dach. W jednym z kątków pies na łańcuchu.

— Tu trzymam klacz i krówkę.

— W zimie też?

— Też. Ostatnio zimy łagodne.

— I tu Antoni mieszka?

— Częściej niż w chałupie.

— Zimą też?

— Też. Palę w piecyku. Mam drzewo, z chrzestnym synem ścięliśmy brzózkę... Miałem źrebaczka, ale się zmarnował; przyszła ulewa, że woda przykryła całą łąkę, stał po kolana w wodzie i się zmarnował. Grad prał, leżę w szopie, mówię: Boże, ja to grzesznik, ale szkoda świętych obrazków i patrzcie! Przestał!

Wracamy pod cembrowinę.

— A może kupić krówkę i tak sobie żyć jak Antoni — marzy Terlecki. — Malowałbym...

Wkręca uchwyt aparatu fotograficznego w pień olchy. Antoni czyta na głos „Rycerza..." (ja komunistycznej gazety do rąk nie wezmę! Kapota!). Dowiadujemy się o niecodziennym opadzie śniegu w Rzymie, piątego sierpnia, za pontyfikatu papieża Liberiusza.

— Dobrze, że Ojca Świętego mamy Polaka na tyle lat historii. Wszędzie chodzi, ziemię całuje i modli się o pokój — mówi Antoni.

Rozmowa schodzi na konie.

— Ja jeszcze teraz na konia siądę, to ho!

Polemiki

Z CORAZ większą grozą czytam kolejne numery „Relacji", bowiem coraz wyraźniej widzę wyłaniający się profil pisma: proukraiński. W każdym niemal numerze jest coś, co kształtuje i utrwala opinię o rzekomej krzywdzie Ukraińców i rugowaniu ich z rzekomo etnicznie ukraińskich terenów wschodnich. Stronniczość drukowanych w „Relacjach" opisów i przeraża i zdumiewa. Pozornie drukuje się takie niby nic, że są, że byli tu przed wiekami, oni, Ukraińcy. A my, Polacy?!

Aby nie być gołosłowną, przytoczę kilka przykładów:

● „Relacje" nr 9, artykuł „Temat na opowiadanie", w treści zdanie: „[...] młodzi stanęli wkrótce pod weselnymi koronami w cerkwi w Piszczacu". I już mamy utrwalenie w pamięci czytelników związku Podlasia z prawosławiem (i ukrainizmem!).

Proszę szanownej Redakcji: to jest temat na niezły dramat, nie tylko na opowiadanie! W czasie zaboru rosyjskiego Piszczac przechodził straszliwe prześladowania religijne. Broniących swej cerkwi katolików-unitów publicznie chłostano, aresztowano i zsyłano na Sybir. Pomimo tych prześladowań ludność kilkakrotnie wyrzucała prawosławnego popa z katolickiej cerkwi. W roku 1872 parafię katolicką przy pomocy licznego wojska zamknięto, otwarto ponownie po ukazie tolerancyjnym i rozbudowano po odzyskaniu niepodległości. Katolickiej wiary wyrzekli się najmniej odporni fizycznie i psychicznie na zaborczą przemoc. Wiara katolicka była wtedy jednoznaczna z narodowością polską. Echo tych wydarzeń odbiło się z przerażającą siłą w roku 1939. Potomkowie tych najsłabszych, wynarodowionych (a także element napływowy niewiadomego pochodzenia), wymordowali w Połoskach k. Piszczaca oddział polskiego wojska. Zmęczonych żołnierzy najpierw przyjęto gościnnie, napojono ich jakimś płynem i spalono śpiących w stodole. Bity bestialsko dowódca oddziału, na kolanach prosił oprawców, aby zabito tylko jego jednego, a puszczono szeregowych żołnierzy. Na miejscowym cmentarzu jest zbiorowa mogiła i krzyż z napisem: „zamordowani przez miejscową ludność"... Podano liczbę 20 zamordowanych żołnierzy. Jednak prowadzone w latach osiemdziesiątych roboty ziemne ujawniły inne zbiorowe mogiły żołnierzy polskich. Nikt tego nie wyjaśnia, podobno dlatego, aby nie jątrzyć... Głośno mówi się natomiast, że był to akt słusznej zapłaty za zlikwidowane przed wojną cerkwie. Sterroryzowani Polacy-katolicy, zagrożeni posądzeniami o rewizjonizm i rozpętywanie nacjonalistycznych nienawiści, milczą...

● „Relacje" nr 13, artykuł „Cerkwie, monastery". Twór ten jest typowym przykładem wykorzystywania słowa „cerkiew" do udowodnienia ukrainizmu ziemi, na której taka cerkiew istniała. [...] Podpisanie zdjęcia kościoła w Kodniu (XVI w.) jako cerkwi św. Ducha i włączenie zdjęcia tego kościoła do tekstu nawiązującego do kultury budowlanej Ukraińców jest celowym manipulowaniem historią. Zachęcam do poznania encyklopedycznych haseł; słowa „cerkiew", określającego miejsce, świątynię w dawnej Polsce oraz słowa „kościół", spopularyzowanego w czasie rozbiorów Polski jako określenia i miejsca, i wiernych, tj. organizacji religijnej. Tylko patrzeć jak wzorem okładki — „Sztandaru Ludu" — wkładka „Relacje" ogłosi pean na cześć monasteru w Jabłecznej z pominięciem rzeczy najważniejszej w dziejach tego obiektu, mianowicie funkcji rusyfikacyjnej wobec Podlasia i Chełmszczyzny w czasie rozbiorów (...).

W czasie unii brzeskiej pustelni tej nie brano pod uwagę, bowiem nie prowadzono tam żadnej działalności religijnej. Słynny obecnie monaster był wtedy drewnianą, małą pustelnią, izolowaną od świata nadbużańskimi bagnami i lasami, oddaloną od szlaków komunikacyjnych, z kilkoma na poły zdziczałymi pustelnikami. Na okolicznych ziemiach nie było ani jednej parafii prawosławnej.

JAKI PROFIL

Dopiero w czasie rozbiorów Polski rozpoczęła się intensywna rozbudowa bazy prawosławnej w Jabłecznej. Po utworzeniu Królestwa Kongresowego w roku 1815 nadzór nad pustelnią przejął Synod Petersburski. Obecnie istniejąca murowana zabudowa jest prawie w całości dziełem zaborczego rządu carskiej Rosji z 1840 r.

Przez kilka dziesiątków lat umacniano obsadę klasztoru i utrwalano legendę tego miejsca. Różnymi sposobami zjednywano i zmuszano ludność, która stopniowo stawała się prawosławna i tym samym ruska. Po powstaniu styczniowym duchowieństwo z monasteru w Jabłecznej, zgodnie z wyznawanym przez prawosłowie cezaropapizmem, czynnie poparło cara w jego katolicko-polskożerczych zapędach. Klasztor brał czynny udział w rusyfikacji całego Podlasia i Chełmszczyzny. Bez wyjaśnienia tych spraw nigdy nie rozwieje się atmosfera fałszu i obłudy, ziejąca z „wygładzonych" publikacji o monasterze w Jabłecznej (...).

Przenikanie prawosławia na wschodnie ziemie polskie trwało kilka wieków. Nasiliło się w okresie umacniania się państwa moskiewskiego, kiedy wschodnie ziemie polskie były już w całości katolickie, bez względu na stosowane w cerkwiach słownictwo greckie czy łacińskie. W świetle tej prawdy historycznej swoiste kuriozum stanowi ocena unii brzeskiej jako tej, która zajęła miejsce kościoła prawosławnego. Istniała sytuacja jak raz odwrotna: unia uznała prawo ludności do wyznawania katolickiej wiary swych przodków.

Obecnie przypisuje się wszelkie cerkwizmy greckokatolickie narodowi ukraińskiemu wbrew

Polemiki

O NIE-POLSKIEJ NORMIE

Tadeusz Kwiatkowski

PO rozgromieniu mnie na froncie tulońskim, p. Piasecki przystąpił do ataku na froncie generała Fabrycego i Armii „Karpaty". Jest przy tym bardzo pewny swojej kompetencji. No bo „jeśli się cokolwiek o kampanii wrześniowej czytało", a zwłaszcza gdy się przeczytało „Wojnę Obronną 1939", która jest „podstawową pracą na ten temat wydaną w 1979 r.", to oczywiście się wie wszystko, jak trzeba. Tylko panie Piasecki, podstawowych dzieł „na ten temat" jest wiele, zaś żeby coś wiedzieć, nie wystarczy „coś" przeczytać, lecz trzeba czytać solidnie.

„Polemikę" rozpocznę od cytatu „[...] kontroler [tzn. ja — TK] nie podaje ani jednego argumentu, który przekonywałby, że armia ta dokonywała cudów bojowych, była przykładem kunsztu dowodzenia i stawała w polu, póki sił starczyło?" A stawała, stawała p. Piasecki i cudów też dokonywała, tylko zanim o tym powiem, zapytam: czy pan wie, co to była Armia „Karpaty" i jakie były okoliczności jej powołania?

Zacznę od krótkiej odpowiedzi na drugą część pytania. Otóż idea powołania tej armii pojawiła się w planach wojny obronnej bardzo późno, bo dopiero po zajęciu przez Hitlera Czechosłowacji. Fakt ten zrodził potrzebę osłony południowej granicy Rzeczypospolitej. Zadanie to miała spełnić właśnie Armia „Karpaty", której powołania przedtem nie przewidywano. Utworzenie jednostki tej rangi wymagało wojsk, których na razie nie było. Miały być one „wygospodarowane" dopiero z odwodów Naczelnego Wodza, a zatem dopiero po mobilizacji. Tak więc do chwili wybuchu wojny Armia „Karpaty" istniała raczej teoretycznie. Na jej siły w dniu 1 września 1939 r. składały się: a) na odcinku „Słowacja" — dwie słabe brygady piechoty i b) na odcinku „Węgry" — jeden pułk KOP i kilka oddziałów Obrony Narodowej. Siły te, dysponując słabiutką artylerią (18 przestarzałych lekkich armat) i równie słabym lotnictwem (1 eskadra rozpoznawcza i 1 eskadra obserwacyjna) obsadzały front 300 km. Dopiero po rozpoczęciu działań wojennych dołączały do Armii przydzielone jej jednostki, oczywiście w różnym czasie i nigdy w pełnym składzie; były to: 11, 24 i 38 dywizje piechoty oraz 10 BK (pancerno-motorowa). Później doszła 35 rezerwa DP, którą przeznaczono do obrony Lwowa. Oddziały te, mimo że niekompletne, nie skoncentrowane w wyznaczonych miejscach, pozbawione osłony lotniczej i środków łączności biły się jednak dzielnie i — jak na warunki wrześniowe — długo, bo aż do 21 września, tj. do zajęcia rejonu Lwowa przez Armię Czerwoną. Odnosiły też, mimo trudnego położenia piękne sukcesy, jak np. rozbicie doborowej jednostki pancerno-motorowej SS „Germania" przez 11 dywizję piechoty w nocy z 15 na 16 września (w bitwie pod Jaworowem). Wyczynami tej jednostki były również inne walki, w tym kunsztowne i bohaterskie wychodzenie z kilkakrotnego okrążenia. Podobnie było z 24 DP, która, mimo kilkakrotnego rozbicia, zbierała się i walczyła dalej, aż do ostatnich walk pod Lwowem. Tak też było z rezerwą 38 DP, chociaż jej dowódca, pułkownik Wir-Konas popełnił istotny błąd w nocy z 16 na 17 września i skomplikował poważnie marsz całej tzw. grupy przemyskiej (tj. dywizji: 11, 24 i 38) w kierunku Lwowa. O tym, że oddziały te walczyły do granic możliwości i reprezentowały postawę podobną do postawy wojsk gen. Kleeberga pod Kockiem, świadczą ich ostatnie boje o otwarcie drogi do oblężonego Lwowa. Osobną piękną kartę stanowią działania 10 BK i obrona Lwowa. Brak miejsca nie pozwala mi tu przedstawić tych walk. Muszę się przecież zająć jeszcze tym, co p. Piasecki wypisuje o generale Fabrycym.

udokumentowanej terminologii cerkiewnej w staropolszczyźnie. Wyzwolona „pieriestrojką" swoboda poglądów działa w niektórych pismach tylko w jedną stronę — przekręcania faktów dotyczących wiary chrześcijańskiej na polskich terenach wschodnich. Dlaczego nikt nie ma odwagi napisać tego, że duchowieństwo prawosławne, miast rozbijać sztucznie Polskę na mikroskopijne liczbowo diecezje prawosławne, powinno powrócić tam, skąd wyszło, tj. do diecezji katolickich? Dlaczego nikt nie zaprotestuje przeciwko publikacjom głoszącym kłamliwie, że na ziemiach polskich najpierw było prawosławie, wyrugowane następnie przez katolików? Milczenie na te tematy było zrozumiałe w czasach rozbiorów, stalinizmu i breżniewizmu, bowiem wtedy katolik znaczyło Polak-patriota-nacjonalista i wróg socjalizmu, lecz teraz?! (...). Dlaczego wszelkie uwagi pod adresem duchownych prawosławnych traktowane są jako prześladowania nie tylko religijne? Są rozdmuchiwane do rangi prześladowań „mniejszości narodowych". Od jakiej wielkości można mówić o mniejszości narodowej? Od 50 proc. w dół? Ile procent stanowią

„RELACJI"?

w Polsce te mniejszości — 0,1 proc., 0,5 proc., 1,0 proc., czy sądząc po wrzaskliwości aż 49 proc.? Czy na Ukrainie określa się Polaków „mniejszością narodową"?

● W numerze 14/89 „Relacji", w art. „Potrzeba odwzajemnienia" ukraiński docent przedstawia swoje dziennikarskie credo: serce do ludzi, uczciwość, dominacja moralności nad polityką. I wcale mu to nie przeszkadza argumentować dalej: „...nie mamy dziś sporów etniczno-terytorialnych". Wtrąca jednak pełen pretensji: „[...] sprawa Przemyśla. Przemyśl spełnia dla nas podobną rolę jak Lwów dla Polaków. [...] Tragiczny los spotkał zabytki naszej (ukraińskiej) kultury w Polsce". I tu następuje wyliczenie tych zabytków, jakich — wiadomo: cerkwi!!! Przeprowadzający rozmowę polski dziennikarz nie ma odwagi przypomnieć ukraińskiemu docentowi choćby o dekrecie anulującym skutki rozbiorów terytorialnych Polski, i o tym, że dekret ten nie został wykonany w pełni dlatego, że władzę w ZSRR zaczął przejmować paranoik Stalin, a oderwanie od Polski Lwowa po II wojnie światowej jest paranoicznym dziełem zbrodniarza.

Ukraińcy gorliwie obecnie przyznają, że „stalinizm był wszechobecnym kłamstwem", lecz w żaden sposób nie biorą tego do siebie w stosunkach z Polakami. Pomijanie metod, jakimi usunięto Polaków z Wołynia i Podola, przemilczanie bestialskiego wymordowania setek tysięcy cywilnej ludności, przymusowej wywózki za Bug milionów Polaków i brak pamięci o rusyfikowaniu Wschodniej Polski przez cały okres rozbiorów — jest nie tylko kłamstwem, lecz współudziałem w zbrodni ludobójstwa. I nic tu nie pomoże straszenie Polaków upiorami przeszłości — tak jak to uczynił wyżej wymieniony docent. To stalinizm utrwalił w Ukraińcach to, że w czasach pokoju można Polskę wykorzystywać bez umiaru, a w czasie wojny i niepokojów wewnętrznych — zakłamywać na swoją korzyść co się tylko polskiego da! Jest mi znana wypowiedź Lecha Wałęsy opublikowana w nr 6 „Gazety Wyborczej", apelującego o godziwe współżycie nad Wisłą wszystkich narodowości, kultur, wiar. Jestem z tej wypowiedzi dumna, podobnie jak dumna jestem z jedynego polskiego noblisty - Wałęsy w dziedzinie innej niż literatura. Byłabym zawiedziona, gdyby nie nawiązał w tej sprawie do spuścizny dawnej Rzeczypospolitej, pod warunkiem jednak, że spuścizna ta obejmie także terytorium dawnej Rzeczypospolitej. A teraz, gdy Polska przypomina już nawet nie ten — jak powiedział Piłsudski — obwarzanek, lecz „podkowę śmierci" — wszelkim mniejszościom należy przypomnieć ich polskie korzenie.

Nazwisko i adres znane redakcji

PS. Powyższego tekstu nie posłałam do „Relacji" we właściwym czasie na skutek apeli Kościoła katolickiego i Wałęsy o zachowanie spokoju i tolerancję wobec innych wyznań i „mniejszości narodowych". Zdecydowałam się ten tekst przysłać po stwierdzeniu, że owe wyznania i mniejszości ruszyły starym zwyczajem do ataku, przypisując Polakom wszelkie krzywdy wyrządzone Polakom właśnie przez zaborców. Zaiste — takie „odwracanie kota ogonem" może istnieć tylko w kraju tak sterroryzowanym przez zaborców, jak Polska! Oto „Gazeta wyborcza" (nr 9, art. „Których jest mniej") oświadcza, że rękę do zgody (!) na Białostocczyźnie m u s z ą wyciągnąć Polacy, nie dlatego, że n o s z ą CIĘŻSZE GRZECHY (?) lecz dlatego, że jest ich więcej!!!". „Polityka" w numerze 21/89 „...stawia sprawę reprezentacji mniejszości narodowych w najwyższych organach władzy państwowej. Są w tym względzie historyczne przykłady i doświadczenia". Owszem. Są owe doświadczenia, lecz nie ma terytoriów, na których się one dokonywały. Wszelka wzmianka terytorialna jest wprost niedopuszczalna w świetle doświadczeń carsko-stalinowskich. Wiem, że gdyby powyższe szło do druku, to cenzura wytnie wszystko co dotyczy zaboru Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. (Owych ziem na obrzeżach, u skraju). Narzuca nam się natomiast metodycznie garb tolerancji i pobłażania dla wcale niebłahych żądań pogrobowców carów i Stalina, przyzwyczajonych do bezkarności za wszelkie poczynania polityczne wobec Polski i Polaków.

POLSKIEGO PATRIOTYZMU - CIĄG DALSZY

Uważam, że obiegowa opinia o dowódcy Armii „Karpaty", rozpowszechniana także przez tzw. mojego oponenta jest fałszywa i niesprawiedliwa. Nie uwzględnia ona bowiem warunków obiektywnych, w których wypadło mu działać. Oto, co pisze o tych warunkach M. Porwit w „Komentarzach do historii polskich działań obronnych 1939 roku", t. 1, s. 174: „Dowodzenie operacyjne dowódcy Armii »Karpaty« gen. Fabrycego, było skrępowane brakiem sił, szkieletowym sztabem i brakiem szyfrów planu transportowego. Otrzymały je wszystkie dowództwa Armii z wyjątkiem Armii »Karpaty«, gdyż plan transportowy jej nie dotyczył". P. Piasecki głosi jednak taką opinię: „[...] gen. Sosnkowski odesłał Fabrycego z frontu na tyły, do dyspozycji Rydza-Śmigłego, jako dowódcę skompromitowanego, bez rozeznania sytuacji, wydającego sprzeczne rozkazy, a sztab swej armii trzymającego o 200 km od linii walk". Muszę Ci powiedzieć, Szanowny Czytelniku, że nie jestem w stanie wyrazić obrzydzenia, jakie czuję do autora tej wypowiedzi po jej przeczytaniu. Żeby jednak przedstawić Ci prawdę, oddaję głos generałowi Sosnkowskiemu, bezpośredniemu przełożonemu gen. Fabrycego: „W godzinach przedwieczornych [12 września — TK] przyszedł do mnie generał Fabrycy z prośbą o zezwolenie odjazdu na tyły. Oświadczył, iż czuje się chory do tego stopnia, że nie jest w stanie pełnić nadal swych obowiązków. Generał w rzeczy samej wyglądał nieszczególnie. Dwanaście dni kampanii, przebytych w tak trudnych warunkach, mogło nadszarpnąć każdy, nawet bardzo odporny organizm; ponadto generał był wstrząśnięty tragiczną wieścią o śmierci swej jedynej córki, zabitej jakoby przez bombę niemiecką. (Na szczęście wiadomość ta okazała się później nieprawdziwa). Znając dowódcę armii »Karpaty« od lat trzydziestu, zdawałem sobie sprawę, że bez skrajnej konieczności nie wystąpiłby on w sytuacji ówczesnej z taką prośbą. Na razie jednak musiałem odłożyć odpowiedź w tej sprawie..." („Cieniom Września", MON, 1988, s. 96).

Nie sądzę, aby zestawienie powyższej wypowiedzi z „opinią" mego, tzw. oponenta wymagało komentarza. Uważam jednak za konieczne powiedzieć parę słów o wypominanym gen. Fabrycemu „trzymaniu sztabu jego armii o 200 km od linii walk". W rzeczywistości było tak: 10 września gen. Fabrycy — pod wpływem wiadomości o wychodzeniu szybkich jednostek niemieckich na tyły jego wojsk — rozkazał (popełniając błąd) przesunięcie swojego odwodu, tj. 38 DP z rejonu Niżankowic ku szosie lwowskiej, do rejonu Medyki. Zarządził też zmianę pozycji 11 DP i 24 DP oraz zdecydował przenieść dowództwa armii z Przemyśla do Lwowa. Gen. Sosnkowski miał wątpliwości co do ostatniej decyzji, uważając ją za przedwczesną oraz ze względu na zwiększenie odległości dowództwa od czołowych oddziałów do 150 km (to jednak mniej niż 200 km). Gen. Fabrycy wyjaśniał, że ze Lwowa będzie miał lepsze warunki łączności oraz tym, że trzeba szybko rozpocząć przygotowania do obrony zagrożonego miasta. Gen. Sosnkowski nie był w pełni przekonany o słuszności decyzji gen. Fabrycego, lecz zarazem nie uznał jej — przeciwnie niż p. Piasecki — za skandalicznie głupią. Musimy bowiem pamiętać, że linia frontu, której Armia „Karpaty" miała wtedy (tzn. 10 września) bronić, wynosiła ponad 400 km (licząc wzdłuż Sanu do granicy na południu i dalej, wzdłuż Karpat, do styku z Rumunią). Oczywiście ciągła obrona tej linii była fikcją, ale gdyby była ona obsadzona wojskami, a dowódca znajdował się w jej środku, to i tak jego oddalenie od skrajnych oddziałów przekraczałoby 200 km.

P. Piasecki, gromiąc gen. Fabrycego (i mnie przy okazji) wysuwa argument, że były dowódca

Dokończenie na str. 12—13

Z BIEGIEM BUGU

Seria zdjęć z koniem. Siadamy przy studni — nie chce się jechać.

— Ależ mi się pan podoba, panie Antoni. Pan jest najbardziej moralnym człowiekiem jakiego spotkałem. Dziadka mi przypomina — mówi Marek. — Co pan będzie robił jak pojedziemy?

— Napoję krówkę, klaczkę, przypalikuję. Zmówię różaniec, poczytam „Rycerza...". Tam jest wszystko: jak się ubrać na każdą pogodę, nawet jak się nauczyć pływać... I jeszcze raz napoję i przepalikuję.

W południe zbieramy się. Na moją propozycję powrotu pod kościółek, by jeszcze raz zobaczyć dziw natury — olbrzymi biust pani konserwator, mój towarzysz pańska gniewnie:

— Żadne cyce nie mogą mnie zawrócić z drogi. Niech to będzie dowodem mej absolutnej niezawisłości.

Mijany turysta, podążający także do Jabłecznej, informuje nas o schronisku młodzieżowym w Lisznej — wsi położonej blisko klasztoru. Nareszcie odpoczniemy w przyzwoitych warunkach.

OKAZAŁY dwór Kraszewskich w Romanowie, w którym pisarz spędził dzieciństwo, przyjmuje nas jazgotem traktorowych silników na dziedzińcu. W pobliżu symbolicznego mauzoleum — we dworze i w kaplicy — podbijają fundamenty. Z ochotą przyjmujemy zwiedzenie dworu. Zgromadzono sporo książek autora „Starej baśni", pierwszych wydań, ale pamiątek po pisarzu niewiele: ulubiona zabawka porcelanowa w formie domku, kilka obrazów jego autorstwa w technice olejnej i akwareli, kilka portretów, typowe meble z epoki. Sala, w której wystawiano sto kilkadziesiąt rysunków Kraszewskiego — w remoncie, prace pod kluczem. Terlecki, którego ta część twórczości malarza amatora interesuje najbardziej, sonduje panią przewodnik czy mógłby obejrzeć je w drodze wyjątku. Okazuje się to niemożliwe, z konieczności skupiamy się więc na olejnych pejzażach o delikatnie, niemal pastelowo zestawionych barwach. W porównaniu z portretami malowanymi akwarelą, oleje wypadają o wiele korzystniej i — mówiąc szczerze — dają więcej satysfakcji odbiorcy, niż produkowane jeszcze dziś, w tysiącach egzemplarzy, okrzyczane powieści.

Po spacerze mrocznymi, grabowymi alejami i obejrzeniu XIX-wiecznej kaplicy-mauzoleum, w której ściany wmurowano liczne epitafia Kraszewskich, odjeżdżamy na północ.

Do Sławatycz zjeżdżamy w słońcu. Zakupy w małym sklepiku na skrzyżowaniu dróg, do centrum miasteczka półtora kilomera. Nie spieszymy się. Liszna tuż tuż.

Typowy, senny zapach kresowej biedy w ciche popołudnie. Po lewej XIX-wieczna, prawosławna cerkiew, naprzeciw, po drugiej stronie jezdni — neorenesansowy kościół ze starymi (XVII—XVIII w.) obrazami. Stare, rozczłapane, pożydowskie domy z drewna. Objeżdżamy brudny rynek i wracamy do kościoła. Pojeżdża samochód z zagraniczną rejestracją, otwierają się tylne drzwi: doprany do granic przyzwoitości facet podpiera się nogą o asfalt (druga w samochodzie) i chlaszcze kamerą video po cerkwi. Nie odrywając sprzętu od oka, przejeżdża po domkach rynku i ląduje na kościele, trzaskają drzwi, samochód rusza. Patrzymy osłupiali.

— Do końca życia nie wpadłbym na taki pomysł zwiedzania — mówię do Marka.

W Lisznej przyjmuje nas sympatyczna, młoda nauczycielka. Duża sala schroniska mieści się w budynku po przedszkolu. Na kilkanaście łóżek nas dwóch, tudzież turysta, ten w drodze do Jabłecznej. Leżąc wygodnie wysłuchujemy monologu na temat trudności, jakich życie nie szczędzi młodym nauczycielom na wsi. Z przyjemnością patrzę na zdrowe plecy opięte ciasno sukienką, pochylone nad kwitami meldunkowymi. Wieczór okrasza przyzwoity, bez pośpiechu gotowany, obiad-kolacja.

DZIEŃ V

Przez sen słyszę natarczywe krzątanie się. Otwieram jedno oko.

— Budzisz się jak mamut z epoki lodowcowej, albo aborygen — komentuje moje przecknięcie Marek.

— ?

— Aborygeni śpią na ziemi, między zwalonymi pniami. W miarę jak obniża się temperatura otoczenia, spada temperatura ich ciał. Wstaje taki — przemarznięty, ruchy ma powolne, potem coraz szybsze, w końcu robi coś takiego: uberyge-uberyge-uberyge, i poszedł!

Przy śniadaniu rozmowy o królu Stasiu, niedalekim Wołczynie, w którym król zdematerializował się ostatecznie, i o monasterze w Jabłecznej. O dziesiątej trąbimy wsiadanego.

Jabłeczna: teren wokół klasztoru wysprzątany świątecznie jak w jednostce wojskowej przed inspekcją, świeże ślady bielenia. Cicho, biało, słonecznie i przytulnie. Przechodzimy przez plac przez bramną dzwonnicę wchodzimy na drugi przy cerkwi, przystajemy między podwójnymi

Dokończenie na str. 12

Z BIEGIEM BUGU

Dokończenie ze str. 10—11

drzwiami soboru — brakuje nam odwagi, aby wejść do środka podczas nabożeństwa. Ksiądz udziela komunii: każdemu maleńki kawałek chleba umoczonego w winie tą samą, pozłacaną łyżką o długim trzonku. Podczas modlitwy ludzie często żegnają się. Robić to samo? Nie wiemy.

— Na zasadzie małpowania — obrusza się Marek.

Sobór rzęsiście oświetlony, ludzi mało, ze trzydzieścioro, chór budzi zachwyt. Wsłuchuję się śledząc jednocześnie wszystko: częste otwieranie i zamykanie carskich wrot, przechodzenia — małe procesje; modlący zachowują się swobodnie, nawet aż nazbyt jak na nasze przyzwyczajenia. Przechodzą z lewej strony na prawą, rozmawiają, mężczyzna podchodzi do drugiego, witają się serdecznie, całując z dubeltówki, potem jeden drugiego w rękę. Kobiecina bije głową pokłony przed ikoną na środku świątyni, inne kupują świece przy głównych drzwiach u diakona, który namaszczonym półgłosem liczy pieniądze. Dużo kadzidła i chór. Ten chór!

Jabłeczna. Brama cerkiewna.
Fot. **Marek Terlecki**

W pewnej chwili diakon otwiera drzwi jedne i drugie, szykują się ludzie z krzyżem i dwiema metalowymi, ażurowymi chorągwiami. Procesja z udziałem co najmniej pięciu księży przechodzi pod dzwonnicą do usytuowanej naprzeciwko kaplicy ze studnią w punkcie centralnym. Podczas długich, monotonnych modłów kapłani zdejmują, to znów nakładają nakrycia głowy z charakterystycznymi welonami. Po powrocie procesji do soboru z ulgą wsiadamy na rowery, by obejrzeć przyklasztorne, nadbużańskie łęgi.

NAWIERZCHNIA okazałej, wysadzanej starodrzewem alei prowadzącej do Bugu świeżo wyjeżdżona w błotne, cuchnące koleiny. Zastanawiamy się, czy nie jest to celowa robota chłopców z miejscowego PGR w Koroszczynie. Nieco dalej, między aleją a Bugiem koszmarne wiaty, będą szopy. Głupota przybiera różne formy. Tu, na miejscu unikalnego, przyklasztornego założenia krajobrazowego akurat te. Do drugiej wojny światowej ogrody otaczały klasztor od południa i wschodu, w południowej części założono sadzawkę, w północno-wschodniej trzy stawy, na północny zachód rozpościerała się dąbrowa, w której zbudowano kaplicę p.w. Zaśnięcia Matki Boskiej, nad zakolem starego bużyska (pierwotnie klasztor znajdował się po prawej stronie Bugu) — także dąbrowa, dziś wycięta. Cały teren poprzecinano alejami spacerowymi i drogami procesyjnymi wiodącymi aż za Bug, do pustelni i kaplicy błogosławionych Hermana i Sergiusza. Dziś stawów nie ma, nadbużańskie łęgi ze stojącą na nich kaplicą św. Ducha zdewastowane przez wypasane bydło z PGR Krotoszczyn. Śladów założenia domyślamy się po skupiskach wiekowych dębów — niektóre z nich wypalone, złamane w połowie pnia, trawa wdeptana w błoto. Ślady wałów i skarp czytelne, po procesyjnych drogach i alejach nie pozostało nic. Zastanawiam się, kto dokonał większego spustoszenia, Niemcy w czasie wojny, czy rodzimi mędrcy zarządzający gminą i PGR? Czy gospodarstwo nie miałoby większego zysku, gdyby ogrodziło zrekonstruowane założenie i wpuszczało tam turystów za pieniądze? Prawosławny klasztor męski w Polsce jest tylko jeden, przyjedzie tu każdy! Panów decydentów nie zamierzam przekonywać: skoro doprowadzili do takiego stanu, wiem jakie mają poczucie estetyki i odpowiedzialności. Im Jabłeczna nie jest do niczego potrzebna. Ale już jutro będzie potrzebna ich dzieciom i dzieciom ich dzieci. Warto się nad tym zastanowić, zanim się każe umieścić na rogatkach gminy dziesięć haseł pt. „Polskę mamy jedną".

(Koniec odc. 3. — cdn.)
Adam W. Kulik

POLEGŁ

Lucjan Cimek
Henryk Sieńko

NIEMIENICE — niewielka wieś w gm. Krasnystaw na granicy województw: chełmskiego i zamojskiego. Niedaleko, w Białce, tylko dwa kilometry dalej, hoduje się słynne w świecie konie. Blisko też stąd do Piask Szlacheckich, gdzie odbywają się „czwartkowe kolacje" chłopów regionu południowo-wschodniego, debatujących nad metodami walki ze złodziejską wobec nich polityką rządu.

Tu, do Niemienic trafił w 1938 roku Stanisław Sokołowski; trafił za sprawą miejscowej panienki Marianny Wrony, córki Wawrzyńca i Agaty.

W listopadzie br. ma stanąć tu pomnik ku czci poległych w walce z okupantem partyzantów BCh. Na cokole ma być wyryte także nazwisko Stanisława Sokołowskiego.

Repr.
Andrzej Sobolewski

Urodził się 27 stycznia 1913 roku w Rejowcu, dawnym woj. lubelskim. Ojciec jego był z zawodu kolejarzem, matka dbała o dom i wychowywała rodzeństwo: Marysię, Zosię, Zenka i Ryśka. Żyli skromnie. Chcąc związać koniec z końcem i zapewnić lepszy byt rodzinie, ojciec Stanisława przeniósł się do Zamościa, gdyż w pobliskich Łabuńkach mieszkała jego bliższa rodzina, na którą zawsze mógł liczyć. W Zamościu Stanisław Sokołowski ukończył szkołę powszechną, a następnie, w 1930 roku, wstąpił do Państwowego Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego. Do tego gimnazjum, w którym uczył Maciej Rataj.

Był nie tylko zdolnym uczniem, był przede wszystkim świetnym, rokującym wielkie nadzieje, sportowcem. Wygrywał większość lekkoatletycznych zawodów szkolnych, a w 1934 roku zdobył mistrzostwo gimnazjum.

W tym samym roku, 1 lipca odbyły się Mistrzostwa Okręgu Lubelskiego Związku Lekkoatletycznego. Tutaj też młody Stanisław okazał się rewelacyjnym zawodnikiem. Wtedy podjął decyzję, że po odbyciu rocznej służby wojskowej pójdzie na studia do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego (tzw. CIWF) im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Nie był to wybór przypadkowy.

o

Przegląd Sportowy nr 117 z 18 czerwca 1985 roku w artykule mgr. Janusza Waśko pt. „Kusy nie unikał", pod zdjęciem umieścił napis:

„Na stadionie w Zamościu w dniu 5 maja 1937 roku towarzyszący na zdjęciu (Januszowi) Kusocińskiemu w stroju CIWF zawodnik to Stanisław Sokołowski — przyjaciel, lub co najmniej dobry znajomy Mistrza. Należał do grona czołowych polskich wieloboistów i miotaczy... Po ukończeniu miejscowego Gimnazjum został słuchaczem (jesień 1935) CIWF. Największym osiągnięciem sportowym Stanisława Sokołowskiego był fakt posiadania szóstej pozycji w klasyfikacji »all time« na krajowej liście oszczepu na dzień 31 sierpnia 1939 r.".

o

Jako instruktor narciarski, jeszcze na studiach, jeździł często do Zakopanego i uczył niemieckich turystów jazdy na nartach. Zarabiał na dalsze studia, a że znał dobrze język niemiecki, więc był już wtedy doskonale zorientowany jaki jest duch w narodzie rządzonym przez faszyzm.

Studia ukończył w 1939 roku (absolutorium). Pozostała do napisania praca magisterska, do której materiały już wcześniej skrupulatnie gromadził. Został też wytypowany jako przyszły reprezentant do przygotowań olimpijskich 1940 roku. Niestety, koło historii potoczyło się inaczej.

Zmobilizowany 28 sierpnia 1939 roku ppor. rezerwy Stanisław Sokołowski walczył jako dowódca plutonu w 9 pułku piechoty Legionów w obronie przyczółka mostowego pod Puławami, a następnie w dniach 18—19 września, w ostatniej bitwie wspomnianego pułku pod Krasnymstawem (okolice Krupego, Kasjanu i Borku). Do niewoli niemieckiej nie poszedł; szczęśliwie wyprowadziwszy żołnierzy z opresji, z plikiem map sztabowych dotarł do domu swojej żony w Niemienicach. Tutaj zakonserwował przyniesioną broń i od razu przystąpił do organizowania pracy podziemnej.

Pierwsze kontakty w ZWZ nawiązywał bardzo ostrożnie; chodziło o to, by jak najmniejszy krąg ludzi znał go osobiście. Wróg bowiem śledził wszystkie spotkania. Kiedy powstała Straż Chłopska („Chłostra") stał się w niej jednym z aktywniejszych członków. Organizacja skupiała element chłopski, trzon stanowili byli członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej RP „WICI" i Stanisław Sokołowski przyjął wówczas dla potrzeb konspiracji pseudonim „Rolnik".

Wiele pracy i sił poświęcił dla zorganizowania Batalionów Chłopskich, a szczególnie Korpusu Bezpieczeństwa w powiecie krasnostawskim. Był niestrudzony. Intensywnie szkolił podziemnych żołnierzy i to nie tylko w dziedzinie taktyczno-technicznych umiejętności walki, ale również przygotowywał ich fizycznie do trudów wojny partyzanckiej. Dniem i nocą wespół z kolegami przebiegali z jednego końca powiatu w drugi, a nie były to treningi bezpieczne; wielokrotnie trzeba było się mocno nabiegać, by umknąć niemieckim patrolom.

Żona Marianna niejednokrotnie przechowywała mu broń, amunicję i dokumenty, także nielegalne wydawnictwa. Ale do organizacji nie należała. „Rolnik" uważał, że powinna pozostać poza wszelkimi podejrzeniami Niemców.

Jesienią 1942 roku szkolenie żołnierzy i organizowanie Batalionów zostało przerwane. Stanisława aresztowano i uwięziono na Majdanku. Do prac poza obozem Niemcy wybrali m.in. dobrze zbudowanego „Rolnika", który raz-dwa z tego skorzystał.

o

W prowadzonym na bieżąco dzienniku „Z dnia na dzień" napisał: „Uciekłem z obozu z pomocą niemieckiego oficera, którego poznałem w Zakopanem, uczyłem go jeździć na nartach. Los tak chciał, że ponownie spotkaliśmy się w zgoła tragicznych okolicznościach...".

o

Wrócił pieszo do swoich. Z miejsca też wznowił działalność. Jego życie w czasie okupacji to ciągłe pasmo walk z niemieckim ciemiężcą, niesienie pomocy gnębionym przez wroga, aresztowanym i katowanym z byle powodu rodakom. Za swoje czyny w walce z niemieckim okupantem Sokołowski szybko zdobywa kolejne gwiazdki oficerskie: 10 października 1940 roku otrzymuje szlify porucz-

O NIE-POLSKIEJ NORMIE...

Dokończenie ze str. 10—11

Armii „Karpaty", gdy znalazł się na Zachodzie, nie otrzymał żadnego zatrudnienia w Polskich Siłach Zbrojnych. Pytam: a ilu generałów potrzebowała ta maleńka Armia?

I na koniec tematu „Gen. Fabrycy i jego armia" pytanie bijące pod niebiosy mądrością i głębią myśli: „[...] czy Kwiatkowski dostrzega jakąkolwiek różnicę między postawą Kleeberga i Fabrycego?". Panie Piasecki, kogo pan bardziej kocha: tatusia czy mamusię? Nie mieliśmy przecież okazji obserwować działalności obu wymienionych dowódców w jednakowych warunkach, a więc nie mogę powiedzieć, czy widzę różnicę w ich postawach i na czym ona polega.

3. Zarzuty, które mają wykazać mój infantylizm polityczny dotyczą głównie następujących poglądów wypowiedzianych w moim poprzednim wystąpieniu: 1) Nasza postawa we wrześniu 1939 r. wciągnęła Niemcy w wojnę światową i zapewniła — tym samym — odzyskanie przez Polskę niepodległości i nasz udział w ostatecznym zwycięstwie (ten udział chyba mieliśmy panie Piasecki, czy może nie?!). 2) Taki wynik wojny obronnej był zakładany przez ówczesne władze Polski. 3) Atak Hitlera był następstwem odrzucenia przez Polskę jego warunków, do których należało przystąpienie do paktu kominternowskiego. 4) Odrzucenie warunków Hitlera i stawienie mu zbrojnego oporu miało istotne znaczenie dla późniejszej pozycji ZSRR w koalicyjnej wojnie z Niemcami. 5) Związek Radziecki powinien był tę polską przysługę rozumieć od samego początku i nie zajmować wrogiej postawy względem ludności zajmowanych terenów oraz wobec rozbrajanych oddziałów WP. Te ostatnie powinien był utrzymać w takim stanie, by mogły wystąpić u jego boku, jako armia sprzymierzona już w momencie niemieckiego ataku.

Te głównie poglądy p. Piasecki usiłuje wykpić, posługując się argumentacją raczej niewybredną. Nie przekonuje mnie ta argumentacja.

Ad 1) Postawa Polski we wrześniu 1939 r. spowodowała, na mocy zawartych sojuszy, wypowiedzenie Niemcom wojny przez Anglię i Francję. Historyczności tego faktu nie zaprzeczy chyba nawet pan, panie Piasecki. Jest też absolutnie pewne, że wymienione mocarstwa nie wypowiedziałyby wojny Hitlerowi, gdyby Polska przyjęła jego warunki. Doskonale wiem panie Piasecki, że Hitler planował podbój Europy, lecz obawiał się wojny na dwa fronty, dlatego w przypadku przyjęcia przez Polskę jego warunków (w tym warunku przystąpienia do paktu antykominternowskiego, a więc antyradzieckiego) wybrałby, prawdopodobnie, inną kolejność podbojów. Związek Radziecki byłby pierwszą ofiarą napadu i prowadziłby wojnę w osamotnieniu, gdyż państwa zachodnie, pałające nienawiścią do komunizmu, nie udzieliłyby

„Po prostu zabili go jak psa"

nika — dowódcy kompanii, a 1 maja 1943 kapitana — dowódcy batalionu. Natomiast 31 maja 1944 roku zostaje majorem czasu wojny ze starszeństwem od 1 maja 1944 roku, jest dowódcą BCh.

o

Wspomina Jan Grabek, ps. „Chmura", żołnierz BCh.

„Decyzję o uwolnieniu osadzonych w krasnostawskim więzieniu członków BCh i innych więźniów podjęła tutejsza Komenda Obwodu, natomiast całą akcję skrupulatnie przygotował i przeprowadził »Rolnik«. To było w nocy z 19 na 20 września 1943 roku. Około 24-tej podeszliśmy pod mury więzienia. Byłem w obstawie, ale tuż przed wejściem do budynku dowódca zmienił zdanie i poszedłem z nim. Niemcy byli tak zaskoczeni, że nie podjęli żadnej próby oporu. Budynek był otoczony, za miastem ubezpieczali nas na wypadek alarmu i nadciągających posiłków specjalnie przeszkoleni koledzy, zabezpieczyli m. in. mieszkanie naczelnika więzienia, odcięli przewody telefoniczne. Z rąk hitlerowskich oprawców uwolniliśmy wówczas 294 więźniów, bez jednego wystrzału, bez żadnej szamotaniny... Wśród nocnej, jesiennej ciszy słychać było jedynie chrobot klucza otwierającego kolejne cele".

o

W połowie czerwca 1944 roku Niemcy podciągnęli odwody w stronę Bugu i Wieprza, szykując się do obrony linii tych rzek. W krasnostawskim szpitalu było dwóch rannych żołnierzy BCh wziętych do niewoli podczas akcji. Pomimo że w szpitalu było mrowie Niemców i granatowych policjantów, a wokół w ogrodach stały działa i czołgi, major Sokołowski na czele kilku ludzi wtargnął do szpitala, rannych uratował i pod osłoną nocy wywiózł w bezpieczne miejsce — do wsi Olesin.

W tym czasie na terenie woj. lubelskiego, krasnostawskie oddziały BCh miały realizować plan „Burza". Z chwilą wkroczenia wojsk radzieckich dwa zmobilizowane bataliony pod dowództwem ppłk. Jana Wojtala „Jeża" i mjr. Stanisława Sokołowskiego „Rolnika" miały opanować Krasnystaw. Jednak olbrzymie przegrupowanie wojsk niemieckich uniemożliwiło wykonanie tej operacji. Podjęto decyzję o rozpoczęciu walki na własną rękę. Oddziały „Rolnika" robiły to z dobrym skutkiem. W dniach 24—26 lipca nieprzyjaciel stracił około dwustu żołnierzy, pięć czołgów, trzydzieści samochodów, wiele koni i wozów oraz różnej broni i amunicji.

o

Wspomina szwagier Stanisława Sokołowskiego, Karol Wrona:

„Byłem wtedy 8-letnim chłopcem, pamiętam że zaraz po ślubie z moją siostrą przywiózł do nas całe torby sprzętu sportowego: kolce, oszczepy, kule, tyczki, rękawice bokserskie, narty biegowe itp. Gonił i mnie do treningów, często biegaliśmy razem. W 1942 roku przerwał tę zabawę i całkowicie poświęcił się walce z okupantem. Był bardzo odważny, niektóre akcje były tak szalone, że wydawały się nie do zrealizowania. Ci, którzy szli z nim na ochotnika, sami na siebie mówili »straceńcy«. Teraz można powiedzieć, że w dużej mierze o ich powodzeniu zadecydował tupet i partyzancka bezczelność wobec wroga, odwaga »Rolnika« oraz jego ludzi. On ich po prostu wychował, przygotował po swojemu do niesłychanie niebezpiecznej, lecz koniecznej walki."

o

Nie było większej akcji, żeby „Rolnik" nie wykazał się inicjatywą dowódcy, męstwem i odwagą, żeby nie był przykładem dla innych. Z chwilą wyzwalania ziem polskich przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie, oddziały Batalionów Chłopskich znajdujące się na terenach wyzwolonych wychodziły z podziemia, rozwiązywały się i, podobnie jak inne organizacje podziemnej walki zbrojnej, wcielane były do szeregów Wojska Polskiego. Część jednak pozostawała poza wojskiem — nie mając uregulowanego stosunku z władzami państwowymi.

Dopiero po oświadczeniu byłej Komendy Głównej Batalionów Chłopskich z dnia 19 września 1945 roku w sprawie ujawnienia się żołnierzy i oficerów, Stanisław Sokołowski spełnia swój obowiązek. W dniu 15 października 1945 roku ujawnia się, otrzymując zaświadczenie nr 242, podpisane przez obserwatora Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, przedstawiciela D.O.W. Lublin i przedstawiciela byłej Komendy IV Okręgu BCh ppłk. Jana Wojtala. Następnie, po zameldowaniu się w Departamencie Personalnym Wojska Polskiego w Warszawie, z rozkazu Szefa Departamentu zarejestrowany jest w RKU Chełm, jako oficer rezerwy piechoty i z odroczeniem do odwołania.

Po uregulowaniu spraw wojskowych, Stanisław Sokołowski pojechał w odwiedziny do swojego brata w Bydgoszczy. Wrócił po śmierć...

o

Wspomina Wacław Szostak ps. „Jeleń", żołnierz BCh:

„Wszyscy pokładaliśmy w Stachu ogromne nadzieje, to był nasz przyjaciel i serdeczny kolega. Niestety, w rok po wywiezieniu nas do Rosji, majora Sokołowskiego bestialsko zamordowano. Pod zarzutem »dokonywania rabunków« dom, w którym mieszkał, został w nocy otoczony przez kilkudziesięciu funkcjonariuszy z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Krasnymstawie oraz NKWD i zamordowany przez nich podczas próby ucieczki. Po prostu zabili go jak psa. I z nami niechybnie zrobiliby to samo, uratowało nas tylko to, że byliśmy wywiezieni na Sybir i dzięki Bogu przeżyliśmy. On ze zsyłki się wymigał i to go zgubiło [...]".

o

W nocy z 23 na 24 listopada dom Sokołowskich w Niemienicach został otoczony przez około 30 zbirów przybyłych na pięciu furmankach. Na dworze jasno świecił księżyc. Było już po północy, gdy obudził go łomot w drzwi i wściekły wrzask „otwierać"! Przeczuwając najgorsze wyskoczył przez okno na podwórze, boso biegł w kierunku odległego o 50 metrów wąwozu. Ale droga była już odcięta. Zawrócił do sadu, przeskoczył przez płot i znalazł się na otwartym polu. Tu dosięgła go pierwsza seria z diegtariowa. Dostał w nogi. Próbował się jeszcze kawałek doczołgać w kierunku stoków, krzyczał z bólu, wzywał pomocy... Dopadli go w kartoflisku. Strzelali po całym ciele, nie oszczędzając nawet głowy. Z kieszeni ofiary zabrali zegarek. W czasie rewizji w domu zabrali jeszcze jeden zegarek i wieczne pióro marki pelikan, to samo, którym kreślił na niemieckich planach miasta Krasnystaw schemat odbicia więźniów. Plądrując mieszkanie mordercy znaleźli rękopis pracy magisterskiej z zakresu wychowania fizycznego. Żona Sokołowskiego wyjaśniła, że nie są to żadne dokumenty BCh, tylko praca na temat rozwoju fizycznego młodzieży, ale rzucono ją w kąt, z ironicznym epitetem: „przyda się do rozpalenia w piecu".

Pogrzeb majora Stanisława Sokołowskiego, byłego zastępcy Komendanta Obwodu BCh na powiat Krasnystaw, kawalera Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Walecznych, odbył się w poniedziałek, 27 listopada 1945 roku na cmentarzu w Krasnymstawie. Był manifestacją około trzech tysięcy ludzi. Wdowę po zamordowanym prowadził za trumną żołnierz AK — Józef Chwała. Młodzież niosła wieńce i kwiaty.

o

Mieczysław Młudzik w swoim wierszu napisał:

„Był pogrzeb. Nie jęczały armatnie lawety,
nie jęczały orkiestry: to w sercach jęczało
Tysiącami szli chłopi, dzieci i kobiety,
a cierpienie krwią w oczy bluzgało..."

o

Podczas tegorocznego święta polskiej wsi, 14 maja, w Krzywem koło Łopiennika Górnego, ksiądz biskup Bolesław Pylak, także żołnierz BCh, odprawił mszę polową ku czci żołnierzy Batalionów poległych w czasie wojny. Odznaczenia wręczał Komendant Główny BCh — generał Franciszek Kamiński. W imieniu Stanisława Sokołowskiego „Rolnika", „Krzyż bechowski" odebrał syn Jacek. Wszyscy zgromadzeni na uroczystości wyznaczyli sobie kolejne spotkanie w Niemienicach, 200 metrów od miejsca, gdzie zamordowano majora Sokołowskiego. Nie ma tam już domu, w którym mieszkał — ruiny i wykopy zarosły trawą... Ale została pamięć. To dzięki niej, jeszcze w tym roku, stanie tam pomnik ku czci bohaterskiego partyzanta i jego żołnierzy. Mieszkańcy Niemienic już dziś są ciekawi napisu na cokole. Bo przecież nie wszyscy polegli w walce z okupantem...

Na zawodach w Zamościu. Stanisław Sokołowski (w środku) w towarzystwie Janusza Kusocińskiego.

Fot. Archiwum

Z RĄK „SWOICH"

---

mu wsparcia. Hitler nie chciał zaczynać wojny z Zachodem, a zwłaszcza z Anglią, o której wiedział, że nie zostawi Francji osamotnionej, w przypadku gdyby tę ostatnią zaatakował. Nie chciał więc zaczynać wojny z tymi mocarstwami i liczył na to, że groźba jej wypowiedzenia jest z ich strony bluffem. Gdy groźba ta stała się rzeczywistością, próbował porozumieć się z mocarstwami zachodnimi po pokonaniu Polski. Nic jednak z tego nie wyszło. Nie było wprawdzie energicznych działań, ale wypowiedziana wojna trwała i skromne działania (na morzu więcej niż skromne; były także skromne francuskie wyprawy bombowe na Niemcy) też miały miejsce. Trwała mobilizacja i koncentracja alianckich armii.

Tak więc wojna na Zachodzie nie była tylko wojną wypowiedzianą i niech pan nie pokrzykuje demagogicznie, panie Piasecki, że gdyby Hitler nie zaatakował krajów zachodnich, one nie przystąpiłyby do działań. O tym, że byłoby przeciwnie, świadczy późniejsza postawa tych krajów, zwłaszcza Anglii, której rząd był zdecydowany kontynuować wojnę (z terytorium Kanady) nawet w przypadku zajęcia przez Niemców Wysp Brytyjskich. Wcześniej podobny plan powzięły władze francuskie z inicjatywy gen. de Gaulle'a i premiera Reynauda (były już wydane dyrektywy do realizacji tego planu): bitwa o Francję jest przegrana, w związku z czym armia będzie się wycofywać w kierunku portów południowych, skąd — przy pomocy floty brytyjskiej — jej część (de Gaulle liczył na co najmniej 1 000 000 żołnierzy oraz lotnictwo) zostanie przetransportowana do francuskich posiadłości w Afryce. W oparciu o te terytoria Francja miała kontynuować wojnę. Koncepcję tę obalił Ph. Petain, gdy oddano mu władzę.

Hitler przeto wiedział, że wypowiedziana mu wojna jest dla niego groźna i dlatego uderzył najpierw na Zachód, a dopiero w następnym roku na ZSRR. W ten sposób Związek Radziecki dołączył do prowadzących już wojnę sojuszników, których otrzymał niejako automatycznie. Zawdzięczał tę sytuację w istotnym stopniu postawie Polski w 1939 r.

Ad 2) To, że rząd Polski i Naczelne Dowództwo WP dopuszczało możliwość przejściowego zajęcia całego terytorium Rzeczypospolitej, jest faktem powszechnie znanym. Stąd między innymi koncepcja „przyczółka rumuńskiego" jako ostatniej linii obrony. Dla sztabów alianckich, które doszły do wniosku (chyba zbyt pochopnego i małodusznego), że nie są w stanie udzielić Polsce skutecznej pomocy, zajęcie całości terytorium Polski było pewnikiem. Ale przecież ani rządy sojusznicze, ani — tym bardziej — rząd Polski nie dopuszczały możliwości wykreślenia Polski z mapy Europy. Miała ona odzyskać swoje utracone przejściowo terytorium w wyniku zwycięskiego zakończenia wojny. Żeby to jednak mogło nastąpić, Polska musiała w wojnie uczestniczyć, nawet za cenę tak wielkich ofiar, jakie zapłaciła. Jeśli p. Piasecki ma na ten temat inne zdanie, to oczywiście jego sprawa.

Ad 3, 4 i 5) Argumentacja p. Piaseckiego mająca uzasadnić jego krytykę tych twierdzeń (zwłaszcza 4 i 5) polega głównie na demagogicznym szermowaniu terminem „Pakt Ribbentrop-Mołotow". Ja wiem, panie Piasecki, bez pana pouczeń, czym był ten pakt. Gdy pisałem o — niestety — wrogiej postawie Armii Czerwonej wobec Polski i jej ludności, to miałem na myśli właśnie ocenę realizacji tego paktu (pozwolę sobie dodać, że klauzuli o wrogim stosunku do ludności pakt ten nie zawierał). Realizacja tego paktu nie musiała być adekwatna do jego treści i mogła się ograniczyć do założonego w nim zajęcia wschodnich obszarów Rzeczypospolitej. To, że realizacja tego paktu była adekwatna do jego treści, a nawet wykraczała poza tę treść było właśnie wielkim błędem, który spowodował fatalne skutki odczuwane do dziś we wzajemnych stosunkach między naszymi narodami. Do błędu tego władze radzieckie przyznały się w pewnym stopniu (pośrednio) już dość dawno (jeszcze za czasów Stalina), głosząc, że podpisanie układu z Hitlerem było tylko posunięciem taktycznym, mającym ułatwić (dać czas) Związkowi Radzieckiemu przygotowania do przyszłej wojny. Czyż nie tak uczono pana w szkole, panie Piasecki? O tym, że między Polską i wrogim (wtedy) — jak go pan słusznie określa — mocarstwem nie było formalnego (co było błędem rządu polskiego) stanu wojny, to chyba też pan wie? I jeszcze jedno panie Piasecki: opinii, że wojsko polskie, które — moim zdaniem — mogłoby walczyć u boku Armii Czerwonej od samego początku wojny, powstrzymywałoby najeźdźców, nie wyczytał pan w moim tekście, ani tam, gdzie (pańska to reguła!) odcisnęła się farba drukarska, ani między wierszami. Jest to opinia (razem z komentarzem, który umieszcza pan w nawiasie!) tak mądra, że mogła się ona zrodzić tylko w pana głowie!

Dokończenie nastąpi

Tadeusz Kwiatkowski

Żniwa '89

WIEJE ZGROZĄ

Henryk Sieńko

NA początku lipca wraz z grupą publicystów rolnych prasy centralnej i regionalnej uczestniczyłem w przedżniwnym rekonesansie po kilkunastu gminach województw: chełmskiego i zamojskiego. Celem wojażu było przyjrzenie się przygotowaniom do żniw oraz zaznajomienie z sytuacją społeczno-ekonomiczną wsi.

Po przeprowadzeniu kilkunastu rozmów i wywiadów, spotkaniach z rolnikami i urzędnikami, obejrzeniu kilku instytucji obsługujących rolnictwo, włos jeży się na głowie. WIEJE ZGROZĄ!

Po raz kolejny grozi nam klęska urodzaju zboża i — jak należy wnioskować z przeszłości — TOTALNE JEGO MARNOTRAWSTWO! Może oczywiście zdarzyć się cud i będę zmuszony odszczekać te proroctwa, tymczasem jednak trzymam się swego i konkretnych faktów.

Dyrektor PGR Machnów w woj. zamojskim, Czesław Wojnarowski, powiedział podczas konferencji: „Sen z powiek spędza mi rzepak. Szacowałem jego zbiór na ok. 1200—1300 ton, tymczasem już dzisiaj jestem pewien, że będzie go minimum 2000 ton. Podobnie będzie w całym kraju. I co my mamy z tym zrobić? — pytał nas, reporterów. — Bodaczów przyjmie tylko uzgodnioną ilość, innych klientów nie widać, a magazynów i elewatorów nie można przecież na całe miesiące zapchać rzepakiem, gdyż zaraz potem trzeba będzie skupować jęczmień i pszenicę".

Dalej alarmował: „Nie widzę wyjścia z sytuacji, grozi nam zmarnowanie tysięcy ton rzepaku! Chyba, że uda się sprzedać go klientom z innych państw".

Oto do czego doprowadziła polityka zatrudnienia zaledwie 5 proc. przemysłu na rzecz rolnictwa. W urodzajnym, przebogatym kraju brak jest bazy przetwórczej! Powracając do konkretnego przykładu woj. zamojskiego — pojawia się bulwersujące pytanie: dlaczego nie skomasowano środków i ludzi, by przyspieszyć zakończenie budowy elewatora w Lubyczy Królewskiej, który w znakomity sposób rozwiązałby problem? Oglądając wspomnianą budowę, miałem wrażenie, że zabrakło dosłownie przysłowiowego „rzutu na taśmę".

Urodzaj rzepaku urósł więc, jeszcze przed żniwami, do rangi problemu numer jeden. Problem nadmiaru w kraju totalnego niedoboru!

Bardzo często w rozmowach z „ludźmi żniw" padało pytanie: czy w tegorocznej kampanii również mogą formować się kilometrowe kolejki rolników przed elewatorami i magazynami zbożowymi, czy znów będą koczować po kilka dni, żeby sprzedać plon?

Witold Frąc, naczelnik gminy Hrubieszów, odpowiedział: „Nawet jeśli magazyny nie będą zapchane rzepakiem, to i tak będzie bałagan. Jeżeli np. u nas PZZ nie będą w stanie przeładować 400 ton rzepaku, to dojdzie do monstrualnych kolejek. Prezes GS był w Jarosławiu, niczego mu nie obiecano, najpierw muszą się zająć swoim (?! — H. S.) zbożem".

Monopoliści mają się więc dobrze. I naprawdę nie wiem, jak określić postawę PZZ-tów, sprzeciwiających się pomysłowi hrubieszowskiego SKR, który chciał skupować zboże. Dyrektor spółdzielni mówił, że byłyby ku temu warunki, że byłby konkurentem, a gwałtownego sprzeciwu Państwowych Zakładów Zbożowych nie rozumie. Oczywiście. Bo czy logicznie myślący człowiek jest w stanie zrozumieć takie postępowanie?!

A może jest to sabotaż?!

Czy wobec tego może dojść do sytuacji, że chłopi nie będą sprzedawać zboża?

— Oczywiście, tak! I wszystko wskazuje na to, że dokładnie tak się stanie — twierdzi Witold Frąc. — Ceny na zboże, zaproponowane przez rząd, wręcz rozśmieszyły chłopów. Zaraz przeliczyli, że w relacji ciągnik — zboże, kwintal pszenicy powinien kosztować 17 tys. złotych. Tak więc oferowane 9,5 tys. to absolutne nieporozumienie. Wyrównywanie z datą 15 sierpnia też niczego nie zmieni, do tego czasu złotówka pójdzie w dół; tego, co chłop mógłby kupić w dniu sprzedaży zboża, po 15 sierpnia już nie kupi. Inna sprawa: jeżeli rolnicy wstrzymają się ze sprzedażą zboża 2—3 miesiące (a już budują prowizoryczne składowiska), to GS splajtują z dnia na dzień! Już dzisiaj niektóre z GS nie mają czym płacić ludziom. Handel zbożem jest dla nich tlenem.

Być może mamy tu do czynienia z chytrym, przebiegłym manewrem, który ma na celu zmuszenie rolników do przetrzymania zboża. Żeby nie zmarnować rzepaku. Tylko że w momencie ogłoszenia nowych satysfakcjonujących cen zboża — przed magazynami ustawią się tasiemcowe kolejki! Zresztą, osobiście nie jestem przekonany, czy bez dosuszania, ziarno w chłopskich stodołach nie „stanie słupem".

Kolejna sprawa: co przez ten czas będą robiły mieszalnie pasz, czym tuczarnie będą karmić świnie? Wprawdzie do Hrubieszowa zapowiedział przyjazd po zboże prywaciarz z Pomorza (płacić ma o 1000 zł więcej niż państwo i zabierać z miejsca na wagony), ale przecież nie jest to globalne rozwiązanie problemu. Jedynie przejaw(ik) nowej sytuacji...

Sprawy poruszone powyżej są raczej z kategorii kompleksowych i dotyczą wszystkich firm obsługujących wieś. Stare, zmonopolizowane, scentralizowane myślenie trzyma się mocno. A jeśli ktoś jeszcze ma wątpliwości — oto ostatni przykład. Jak powiedział wiceprezes WZGS w Zamościu, inż. Bogusław Laskowski, uchwała 187 Rady Ministrów zakazuje GS sprzedawania żyta i pszenicy innym odbiorcom niż PZZ. Oto słowo Pańskie!

Uff! Wystarczy! Pozostaje mieć nadzieję, że chłopi jeszcze raz staną na wysokości zadania, że zwycięży rozsądek, poczucie odpowiedzialności i tym podobne elementy świadomości polskiego rolnika. Byle tylko starczyło mu nadwątlonej cierpliwości.

OGŁOSZENIE

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom

poleca „WENU S", skr. 27, 59-850 ŚWIERADÓW ZDRÓJ

1/P-10

500 książek dla Lwowa!

UMÓWILIŚMY się na kazimierskim rynku w trakcie barwnego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych. My — to znaczy redakcja „Relacji" z gdańskimi przyjaciółmi z Towarzystwa Wydawniczego „Graf" spółki z o.o., którzy przywieźli z Wybrzeża 500 egzemplarzy „Latarnika" — prezent dla dzieci polskich w ZSRR; serdeczny udział spółki w akcji „Książki dla Lwowa".

Stoisko „Grafa", „pod chmurką", przy starej studni, było stale oblężone. Piękne gdańszczanki oferowały książkowe hity, pierwszą produkcję wydawnictwa: dwutomową „Wojnę 1920" Józefa Piłsudskiego, „Ucieczkę z zesłania" Marii Byrskiej, Stefana Ossowieckiego — „Świat mego ducha. Wizje przyszłości". Wszystkie pozycje w starannej szacie graficznej, wszystko wydane zaledwie w kilka miesięcy od powstania tej niezwykłej firmy. O jej utworzeniu, działalności i planach edytorskich rozmawialiśmy z prezesem zarządu — Edwinem Myszkiem i wiceprezesem — Andrzejem Bałkowcem.

— Powstaliśmy 1 kwietnia br., — wykorzystując sytuację powstałą po wejściu w życie nowych przepisów prawnych o podejmowaniu działalności gospodarczej — mówi p. Myszk — Towarzystwo Wydawnicze „Graf" jest mariażem potencjału mojej firmy wydawniczo-poligraficznej „EM" i znakomitych talentów i doświadczeń organizacyjno-edytorskich Andrzeja Bałkowca. Podjęliśmy działalność w zasadzie pionierską, prywatne spółki wydawnicze w Polsce są nieliczne. Myślę, że trafiliśmy. Nakład pozycji, które pan tu widzi, jest w zasadzie wyczerpany, podobnie zamówienia na kolejne pozycje. Sądzę, że udało się nam rozpoznać potrzeby czytelnicze: „białe plamy" najnowszej historii, kresy, dzieła dotąd objęte prohibicją... Jesteśmy edytorem całkowicie niezależnym. Nie otrzymujemy żadnych państwowych przydziałów papieru, nie dokonujemy zakupu maszyn i materiałów z centralnego rozdzielnika. Drukujemy w moim zakładzie, w systemie tzw. małej poligrafii, oprawiamy sami, także w skórę i półskórę. Mimo to „nasz" Piłsudski sięgnął 8 tysięcy nakładu. Co jest oczywiście niewystarczające. Papier? Pozyskujemy zrywy, uszlachetniamy gorsze jego gatunki; bez wątpienia wolny rynek ułatwiłby nam sytuację. Mimo to radzimy sobie nieźle. Mamy zamiar wydawać książkę co miesiąc, ambicją na rok przyszły jest 2—3 książki miesięcznie.

Andrzeja Bałkowca nie trzeba specjalnie reklamować w Lublinie. W latach 1965—74 — dziennikarz „Sztandaru Ludu" w dziale miejskim, terenowym i rolnym. Później w białostockiej „Gazecie Współczesnej" i gdańskim „Głosie Wybrzeża". Laureat trzynastu ogólnopolskich konkursów reporterskich i I nagrody Klubu Publicystów Rolnych SDP. Od stanu wojennego poza dziennikarstwem, próbował sił w różnych profesjach.

— Myślę, że znalazłem w „Grafie" miejsce realizacji swojej pasji i energii. To jest fascynujące zajęcie. Nie, nie podzielam w żadnym razie stereotypu, iż poligrafia nie jest biznesem. Oczywiście jest i pozwala godziwie zarobić na życie. I niekoniecznie trzeba w tym celu sięgać do kryminałów. Zarabiamy nieźle, inwestujemy stale, część pieniędzy przekazujemy na cele społeczne i nasz skromny upominek nie jest bynajmniej ostatnim. Chcielibyśmy, być może przy współudziale „Relacji", wydać dla polskich dzieci na Wschodzie kolejne lektury. Firma nasza liczy w sumie niespełna 30 osób, w tym 25 zatrudnionych w druku i 3—4, wraz z naszymi żonami, w wydawnictwie. Całe biuro to jeden pokój w centrum Gdańska, doskonała para plastyków, pp. Labenzowie, my i nasze samochody. Może to i tajemnica sukcesu...

„GRAF" - SPÓŁKA Z... NIEOGRANICZONĄ SZANSĄ

Być może. W każdym razie oferta wydawnicza „Grafa", przygotowana na najbliższe miesiące, zapowiada serię bestsellerów. Już w sierpniu w 30 tys. egzemplarzy ukażą się wspomnienia przywódcy PPS Kazimierza Pużaka z lat 1939—45 (zamówienie wyczerpane). W serii dzieł Józefa Piłsudskiego (jednolita twarda oprawa): „Bibuła", „Pierwsze boje", „22.01.1863", „Przemówienia" i „Korespondencje". Do każdego tomiku zdjęcie Marszałka i nakład, uwaga, 50 tysięcy egzemplarzy!

Dalej absolutny unikat: „Zarys sztuki wileńskiej z przewodnikiem po zabytkach między Niemnem a Dźwiną" (reprint z wydania wrześniowego 1939 z odręczną okładką prof. Horelawskiego wykonaną w czasie bombardowania Wilna). „Sybir wspomnień" — adiutanta Piłsudskiego, mjr. M. Lepeckiego z 1937 r., przewodniki i serie pocztówek z Wilna i Lwowa. Być może, to już w rękach cenzury. „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów", być może... To już między sekrety włożę.

Przy takich planach edytor może być raczej spokojny o przyszłość i trudno się, zaiste, dziwić, że w księgarniach Trójmiasta do pozycji „Grafa" zapisuje się na społeczne listy. Tym łatwiej i z sympatią piszę o firmie, która przy własnym sukcesie nie zapomniała o drobnych sprawach zwykłych ludzi. Dziękujemy, gdańscy przyjaciele!

L. W.

PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE „WOBIS"
Spółka z o.o.
Lublin ul. Skłodowskiej 3/7 tel. 240-87

przyjmie zlecenia

na konserwację obrazów, ram,
złocenia i renowacje rzeźb, ołtarzy,
renowację fresków i polichromii.

Ponadto przyjmiemy do wykonania:

osuszanie budynków zabytkowych, kościołów
opatentowaną metodą kanałów nawiewno-wywiewnych.

Wykonujemy prace terminowo i solidnie.

6889/K

TV

CZWARTEK 27 LIPCA

PROGRAM I

8.50 Domator: Patent na lato
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rupcza" (5) — serial przyg. prod. bułg.
10.00 DT — wiadomości
10.10 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży
10.20 „Nie zdejmuj tego swetra" — komedia obycz. prod. CSRS
16.45 Program dnia
16.50 Poligon
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek" — serial fab. TVP
18.35 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 DT
20.05 „To nie dla ciebie przyjacielu" — film fab. prod. franc. Reż. Eddy Matalon. Wyk.: Jane Birkin, Claude Brasseur
21.25 Kroniki PAT: Tak było...
21.40 Pegaz
22.30 John Ballard — recital szwedzkiego piosenkarza
22.55 DT — echa dnia
23.10 Jutro w programie

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na Lachy" — serial animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Świat roślin" — odc. 5 pt. „Róża, królowa kwiatów" — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Studio sport: Memoriał Stanisławy Walasiewiczówny — Kraków '89
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Warsztaty Michała — recital Michała Urbaniaka z zespołem „Walk Away"
22.25 Studio Teatralne „Dwójki": Borys Hybner — „Concerto grosso" — spektakl TV CSRS
23.15—23.20 Komentarz dnia

PIĄTEK 28 LIPCA

PROGRAM I

8.50 Domator: Patent na lato
9.00 Zielone Teleferie
9.30 Kino Teleferii: „Arabella" — serial fab. prod. CSRS
10.00 DT — wiadomości
10.10 DT — dodatek gospodarczy
10.25 „Eksperyment na zamku" — komedia prod. NRD
15.40 Domator: Przed weekendem
16.40 Program dnia
16.45 Intersygnał — magazyn krajów Interwizji
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek" — serial fab. TVP
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 DT
20.05 „Oto jest głowa zdrajcy" — dramat kostiumowy prod. ang.
22.00 Kronika PAT: Tak było...
22.15 Czas — magazyn public.
22.45 DT — echa dnia
23.00 Jutro w programie
23.05—23.35 Świat jaki jest: „Gorzki smak herbaty" — film dok. prod. ang.

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Konwój
19.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
19.30 Dookoła świata: Na „Pogorii"
20.00 VIII Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie: Koncert finałowy
20.50 Brawo dla Krystyny Tyburowskiej
21.30 Panorama dnia
22.00 Filmy z Humphreyem Bogartem: „High Sierra" — prod. ang.
23.40—23.45 Komentarz dnia

SOBOTA 29 LIPCA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Fragglesi" — ostatni odc. serialu prod. ang. i „Siedem życzeń" (2) — serial fab. prod. pol.
10.15 Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej — Kielce '89 (1)
10.30 DT — wiadomości
10.40 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży
10.50 Stare, nowe, najnowsze
11.35 Zdrowie — wojskowy program public.
12.05 „Śladami Odyseusza": „Kraj Lajstrygonów" oraz „Kirke i Kraina Umarłych" — filmy dok. prod. franc.
12.45 Telewizyjny koncert życzeń
13.15 Telewizja prowincja: Trzebiatów
13.45 Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej — Kielce '89 (2)
14.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Z cyklu: Mówi Chandler — „Świadek oskarżenia". Reż. Marek Piestrak. Wyk.: Mieczysław Janowski, Igor Przegrodzki, Stanisław Igar, Ewa Pokas, Zbigniew Lesień
15.30 Flesz
16.00 „Czterdziestolatek" — serial fab. TVP
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 Skarbiec — magazyn historyczny
18.10 „Cumowi świata" — film dok. Cezarego Pawłowskiego
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Ćwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Historia ogrodów zoologicznych — ZOO w Heidelbergu
19.30 DT
20.05 Sobotni seans filmowy: „Korsykańscy bracia" — film fab. prod. USA. Reż. Ian Sharp. Wyk.: Trevor Eve, Geraldine Chaplin, Olivia Hussey i inni
21.35 Tydzień w polityce
21.45 Teatr TV. Spotkania ze Szwejkiem (3): „Niech żyje cesarz Franciszek Józef I"
22.05 Telewizyjny przegląd sportowy
23.05 Well — widowisko estradowe z leitmotivem
23.25 Jutro w programie
23.30 Telegazeta
23.35—1.10 Kino sensacji: „Masakra w dniu Świętego Walentego" — film prod. USA

PROGRAM II

11.30 Trzy godziny z Telewizją Katowice: W środku lata
14.45 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
15.10 Powitanie
15.15 Małe kino: „Polskie ogrody zoologiczne — Chorzów"
15.40 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
16.25 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy" — odc. 13 pt. „Zwycięstwo bez wodzów" — serial fab. TVP
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Śpiewnik uliczny i domowy: Koncert, jakiego nie było
19.30 Galeria 37 milionów: Rzeźby Jana Kucza
20.00 „Tancerz" — odc. 4 (ostatni) pt. „Peter Schaufuss" — program TV angielskiej
20.50 Fama '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon" (12) — serial fab. prod. franc.
22.40—22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA 30 LIPCA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Straszydła" — film fab. prod. CSRS
10.30 DT — wiadomości
10.35 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży
10.45 „Ludy Ziemi" — odc. 2 pt. „Chinczycy" — serial dok. prod. hiszp.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
13.00 Strefa wolnorozrywkowa (1): Cisza na planie — program rozrywkowy
13.55 Morze — magazyn public.
14.15 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — Mesa Verde
15.05 Marek Sierocki zaprasza
15.35 „Panna dziedziczka" (11) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Film dok.
18.00 Gdzie są taśmy z tamtych lat
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Trzy misie
19.30 DT
20.05 „Światła kabaretów" (3) — serial fab. prod. ang.
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sportowa niedziela
22.15 Kinomania
22.45 Premiery po latach: „Rzeczpospolita" — film dok. Ireneusza Englera
23.10 Telegazeta
23.15 Jutro w programie

PROGRAM II

11.15 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
11.50 „Światła kabaretów" (3) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)
12.45 Krótkofalowcy — wojskowy program public.
13.15 Jutro poniedziałek
13.45 Powitanie
13.50 Polska Kronika Filmowa
14.00 100 pytań do...
14.30 Formuła I
14.55 „Polacy" — film dok.
15.25 Formuła I
15.40 Fama '89
16.05 Formuła I
16.30 Konwój
17.30 Bliżej świata
19.00 Goście Daniela Passenta
19.30 Galeria „Dwójki": Maciej Szańkowski
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.30 Panorama dnia
21.45 „Queenie" (1) — serial fab. prod. USA-ang. Reż. Larry Peerce. Wyk.: Joel Grey, Claire Bloom, Sarah Miles, Mia Sara, Chaim Topol, Gary Cady, Kirk Douglas i inni
23.35 Komentarz dnia
22.40 Futurologia na dobranoc: Następcy

PONIEDZIAŁEK 31 LIPCA

PROGRAM I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
19.30 „Czterdziestolatek" — serial TVP
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Sprytny dzięcioł
19.10 Program public.
19.30 DT
20.05 Spektakl na bis: Stanisław Baliński „Polka prosto z kraju". Reż. Anna Minkiewicz. Wyk.: Magdalena Zawadzka, Ewa Wiśniewska, Krystyna Sienkiewicz, Anna Milewska, Jan Matyjaszkiewicz, Leonard Pietraszak, Piotr Machalica
21.20 Kroniki PAT: Tak było...
21.35 „Czterdziestolatek" (ostatni) — serial TVP
22.50 Śpiewa Jerzy Połomski
23.20 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.05 Program dnia
17.10 „Noc zaduszna" — film dok. Witolda Rutkiewicza o Janie Mazurkiewiczu-Radosławie
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd kronik filmowych
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Kłopoty z mieleniem
19.15 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
19.30 Muzyczne wizyty: Janusz Twardowski
20.05 Uroczysty koncert z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego
21.05 Program public.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Noc zaduszna druga" — film dok. Witolda Rutkiewicza o żołnierzach zgrupowania „Radosław"
22.55 Komentarz dnia

WTOREK 1 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Dieta cud
9.00 Teleferie: Wakacje z Ikarem
9.30 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla" (2) — „Niech żyje elektryczność" — film prod. węgier.
10.00 DT — wiadomości
10.10 DT — reforma gospodarcza
10.25 „Hoja kuzynka Rachela" (3) — serial fab. prod. ang.
16.55 Program dnia
17.00 Powstańcom Warszawy — impresja filmowa
17.10 Teleexpress
17.25 „Akcja pod Arsenałem" — film fab. prod. pol. Reż. Jan Łomnicki. Wyk.: Cezary Morawski, Mirosław Konarowski, Ryszard Gajewski
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka
19.10 Magazyn konsumentów „Stop"
19.30 DT
20.05 „Moja kuzynka Rachela" (3) — serial fab. prod. ang.
21.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 Program public.
21.30 „Wojenne ścieżki Joachima" — film dok. Mieczysława Popławskiego
22.00 Program muzyczny
22.45 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Śpiewa Anna Prucnal
19.00 „Wojna domowa" (12) — „Monolog wewnętrzny" — serial TVP
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Leć pieśni — koncert polskich pieśni patriotycznych
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Solidarność
22.30 „Echo" — film fab. prod. franc. Reż. Maurice Failevic. Wyk.: Serge Reggiani, Annick Brard, Luciano Bartoli
24.00 Komentarz dnia

ŚRODA 2 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Dieta cud
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stworek" — „Przygoda z Indianinem" — serial prod. CSRS
10.00 DT — wiadomości
10.10 „Niezwykłe urodziny" — film fab. prod. węgier.
16.40 Program dnia
16.45 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny Informator Wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Kolumbowie" (1) — „Śmierć po raz pierwszy" — serial TVP. Reż. Janusz Morgenstern. Wyk.: Jan Englert, Władysław Kowalski, Jerzy Matałowski, Krzysztof Machowski
18.25 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Bocznymi drogami
19.30 DT
20.05 Zwierciadło czasu: „Zapomniana melodia na flet" — film fab. prod. ZSRR
22.15 Kroniki PAT: Tak było...
22.30 Spojrzenia
23.00 DT — echa dnia
23.15 Historia bursztynowego słowika (2)

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Świat festynów
19.00 Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 „Węgry na krawędzi demokracji" — film dok. Czesław Duraja
21.00 1 sierpnia — etiuda filmowa Aliny Czerniakowskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 „Z ziemi polskiej" — film dok.
22.15 „W labiryncie" (31) — serial TVP
22.45 Telewizja nocą
23.30 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1158. 14.07.89. B-2.

NA RAZIE 1:2

Hen Spider

OD jakiegoś czasu dostrzegam u wielu znajomych narastanie objawów przypadłości zwanej zespołem dezadaptacyjnym. Prościej — bezadaptacyjnym, a jeszcze jaśniej — zatratą zdolności przystosowania do nowych warunków, okoliczności, a nawet twarzy czy nowych numerów autobusów.

Osobnik dotknięty tą przypadłością zachowuje się jak ktoś, kogo odarto ze skóry. Jest nagi do najdrobniejszych włókien swego ja. Wszystkie bodźce zewnętrzne sprawiają ból. W zależności od konstrukcji psychicznej rodzi to protest, gniew, agresję. U innych, genetycznie słabszych — strach, pragnienie ucieczki. W skrajnych przypadkach — chęć samobójstwa.

Młody człowiek powołany do służby wojskowej nie chce słyszeć o wielkości swej misji i na widok tych samych przeraźliwie jednakowych mundurów, w które wtłoczono tysiąc kolegów, nagle bez powodu rzuca się pod gąsienice szkoleniowego czołgu. Ktoś inny pierzcha w piżamie ze szpitala, do którego rodzinie udało się wpakować go za ciężką łapówkę; ucieka dlatego, że wszyscy są tam ubrani jednakowo. Co gorsza, wszyscy są owładnięci straszliwą żądzą wyzdrowienia: totalizm do potęgi.

Nakładają się i wzajemnie stymulują w podobnych sytuacjach dwa syndromy: szok na skutek zmiany środowiska oraz totalna unifikacja. Wszystko jest podporządkowane jednej idei, przeważnie wzniosłej, humanitarnej. Ale wymuszone, stadne.

Ktoś powie, że syndrom nieprzystosowania jest nieuchronną emanacją cywilizacji. Zwłaszcza wielkomiejskiej. Superstadnej. Niszczącej indywidualność. Odbierającej jej prawo do suwerennego bytu. Przeczą temu doświadczenia gnozy.

Średniowieczni gnostycy u podstaw swej mrocznej interpretacji ludzkiego bytu widzieli brutalną nieznaną wolę, która „wrzuciła" tę grudkę świadomości, jaką jest człowiek, we wrogi świat materii. Ci biedacy widzieli człowieka jako istotę „wrzuconą" w dziką przyrodę i dzicz obyczajów swej epoki. Nie mogli wiedzieć, przeczuć, że prawdziwe dżungle dopiero wyrosną — te wielomilionowe miasta, gdzie agresja wobec bliźniego stanie się warunkiem przetrwania. Etyką bytu.

U nas, na pograniczu epok i kontynentów, jeszcze nie rozpanoszył się moloch wielkiej cywilizacji. Jeszcze daje się przejść na drugą stronę ulicy. Jeszcze woda jest dość przejrzysta, choć chemicznie zatruta. Jeszcze widuje się pary objęte jak przed wiekami. Jeszcze żyją szaleńcy piszący powieści i sztuki. Ale gołym okiem widać, że mamy za pięć dwunastą. Nie tylko w Tokio, bo i u nas w oczach bliźnich zapalają się i gasną ogniki przerażenia, szoku, nienawiści, agresji, odrazy. Przyczyny są coraz błahsze, niemal żadne. Ot, trącenie ramieniem w przepełnionym autobusie. Za kilkanaście, za kilkadziesiąt lat autobusowy tłum skoczy sobie do gardeł. W jego ślady pójdzie cała tak zwana ludzkość.

Baczniej śledząc własne reakcje widzę, że i ja zaczynam reagować stadnie, czyli po ludzku. Mierzi mnie zbyt wiele spraw własnych i publicznych, które jeszcze niedawno nie budziły we mnie emocji. Unikam szczytów w ruchu drogowym i w łóżku, nudzą mnie idee, które jeszcze tak niedawno były w stanie rozpalić mnie do czerwoności, do samopalenia czy samozapłonu.

Najprościej objaśnić to można procesem starzenia. Chorobliwym krytycyzmem przy jednoczesnym zaniku autokrytycyzmu. Osobnik, który coraz częściej analizuje tylko siebie, bo rzekomo inni na to nie zasługują, niewątpliwie osuwa się w stetryczenie, ale mam nadzieję, że osobnik ten jeszcze nie nosi mojego imienia i nazwiska.

Mój syndrom nieprzystosowania bierze się z zewnątrz. Z nerwic społecznych. Jest więc ekstrawertyczny. Nie jest to przypadłość wieku przekwitania. Nawet człek o połowę młodszy, o stalowych nerwach dostrzega chyba tę wszechogarniającą niepewność jutra. Te walące się idee. Te fałszywe wielkości, które kazano mu czcić przez całe dorosłe życie. Ten straszliwy kac pokolenia zmumifikowanego w środku Europy, chyba nie jest mu obcy.

Przez dziesięciolecia marzył o trzech spełnieniach. O jednoznacznym sygnale istot rozumnych z przepaści kosmosu. O uniwersalnym leku na raka. O upadku komunizmu. Marzenia może wygórowane, nierealne, lecz dobyte z samego epicentrum nieprzystosowania. Nieprzystosowania do absurdalnej samotności gatunku ludzkiego we wszechświecie. Do atmosfery rzeźni zwanej szpitalem onkologicznym. Do komunizmu jako rzeźni dusz i ducha.

Na razie jego marzenia przegrywają w stosunku 1:2. Ale to i tak dużo. Niewiarygodnie dużo...

Rys. Szczepan Sadurski

Muzyka

LIPCOWE REWELACJE

Teresa Księska

TO była prawdziwa niespodzianka: upały, pełnia wakacji, a tu wydarzenie artystyczne, i to za sprawą młodych ludzi!

Koncert The New Jersey Youth Symphony pod dyrekcją Georga Marrinera Maulla zgromadził 4 lipca w katedrze lubelskiej kilkusetosobową widownię — jedni przyszli z czystej ciekawości, inni przez sympatię, jeszcze inni dzięki zapowiedziom programowym, a więc muzyce A. Coplanda, M. Rimskiego-Korsakowa, J. S. Bacha i H. M. Góreckiego. I chyba nikt nie żałował.

The New Jersey Youth Symphony, blisko 80-osobowy zespół symfoniczny, legitymuje się niebagatelnym dorobkiem artystycznym. Kierowany niezawodnie przez znakomitego dyrygenta i wychowawcę G. M. Maulla, zdobył dwukrotnie najwyższe nagrody na Europejskim Festiwalu Muzycznym w Neerpelt — Belgia (1983, 1985), odbył udane tournée po Rumunii i Węgrzech, reprezentując Stany Zjednoczone i stan New Jersey (1987). Dostąpił także zaszczytu prezentacji w słynnej Carnegie Hall; występ odbył się w styczniu 1989, zaś recenzenci prześcigali się w zachwytach.

Lubelski występ utalentowanej młodzieży potwierdził dochodzące do nas entuzjastyczne głosy krytyki. Cudowna prostota w realizacji zamysłu granych kompozycji, miękkość i fascynująca przejrzystość brzmienia, szlachetność i kultura emocjonalna — oto, w skrócie, główne walory zespołu. G. M. Maull jest wytrawnym muzykiem i słyszy się to w każdym detalu, frazie, urodzie muzycznej chwili. Koneserów z pewnością zachwyciły utwory Coplanda — „Appalachian Spring" i „Hoe Down" z RODEO (jako jeden z bisów) — pejzażowa, swoiście amerykańska muzyka, podana z mistrzowską swobodą i fantazją. IV Koncert brandenburski Bacha wzbudził szacunek dla instrumentalnego warsztatu młodzieży, szczególnie solistów: flecistów — Iana Ladda i Susan Yackinous — oraz skrzypaczki Corinne Stillwell (bardzo dojrzałej także „w roli" koncertmistrza). Akcent polski programu — „Trzy utwory w dawnym stylu" H. M. Góreckiego — wypadły również interesująco. Osobiście jednak pozostaję pod wrażeniem Uwertury „Wielkanoc w Rosji" op. 36 M. Rimskiego-Korsakowa, kolorystycznego fajerwerku, instrumentalnej wirtuozerii każdej z grup orkiestry, temperamentu i pasji grania. To należało uwiecznić!

Nie mniejszy entuzjazm towarzyszył filharmonicznemu występowi Chóru z Izraela, KIBBUTZ ARTZI pod dyrekcją fenomenalnego Aharona Harlapa. Dyrygent, kompozytor, pianista, nagrodzony wysokiej rangi ACUM prize za dokonania twórcze, przedstawił program, który zbulwersował wszystkich przywykłych (czyt. pogodzonych z...) do motetowo - folklorystycznego nurtu polskiej, szarej chóralistyki. Była zatem i muzyka żydowska, i angielska, niemiecka i węgierska, formy swobodne, oratoryjne, hymny, pieśni i piosenki, utwory świeckie i religijne. Nade wszystko zaś porywający kunszt wokalny, artystyczny, wielka siła wyrazu.

Myślę, że na zawsze pozostaną w naszej pamięci: pieśń „Pamięci Żydów leżących w ziemi polskiej", „The Sacrifice of Isaac" kompozycji Aharona Harlapa, fragmenty CARMINY BURANY C. Orffa. Muzyka przekraczająca granice percepcji intelektualnej, będąca samym czuciem, penetrująca nieodgadnione obszary osobowości ludzkiej.

ROCZNICA

ZAWSZE sądziłem, iż Polska wyzwolona została w roku 1944. Tak przynajmniej uczono mnie w szkole i tak twierdziły wszystkie znane mi źródła. I oto okazało się, iż wszyscy byliśmy w błędzie!

W istocie wydarzenie owo miało miejsce rok wcześniej! Tę rewelacyjną tezę jako pierwszy ogłosił red. Janusz Atlas w rozmowie z dziennikarką „Lata z radiem" 5 lipca bieżącego roku. Powiedział on mianowicie, iż w ubiegłym roku obchodziliśmy okrągłą 45 rocznicę wyzwolenia. Powtórzył to nawet dwukrotnie, ażeby mocniej utrwaliła się w świadomości Polaków.

Dobrze się stało, że rewelacja owa została ogłoszona w czasie wakacji. Jest bowiem jeszcze czas na skorygowanie podręczników i programów nauczania historii. Tak, by w nowym roku szkolnym dziatwa mogła się uczyć prawdziwej wersji dziejów ojczystych.

Flesz

W NUMERZE 29. OPUBLIKUJEMY:

● LUBLIN — NARODZINY TERRORU ● KOMARÓW 1920 — KLĘSKA BUDIONNEGO ● „POLMOS" PRZED SĄDEM ● OMAR SHARIF DLA „RELACJI" ● WILEŃSKI HAMLET PO KOWBOJSKU ● PRAWOSŁAWIE PO POLSKU ● JAKA NORMA POLSKIEGO PATRIOTYZMU? ● ZA CO VIRTUTI DLA BREŻNIEWA?